ROK X. WARSZAWA, LUTY 1935. № 2.

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

WYCHODZI CO MIESIĄC, Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA
DZIESIĘĆ ZESZYTÓW TWORZY TOM

TREŚĆ

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

Rok X. Warszawa, Luty 1935. № 2.

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

WYCHODZI CO MIESIĄC, Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA
DZIESIĘĆ ZESZYTÓW TWORZY TOM

PRZEOCZONE LISTY STEF. GARCZYŃSKIEGO I NIEPOZNANY WIERSZ A. MICKIEWICZA

Wypadek tak niezwykły, że aż nieprawdopodobny, a przecież prawdziwy. Od sześćdziesięciu zgórą lat istnieją drukowane źródła, mówiące sporo o szczegółach życia i twórczości poety, a jakimś niewytłumaczonym sposobem nikt ani spośród bibljografów ani z badaczy, ba, monografistów tego poety, nie zwrócił na nie uwagi i nie wyzyskał dla nauki. A wydrukowano je — żebyż to w czasopiśmie; wtedy możnaby takie zawzięte przeoczenie jakoś jeszcze wyrozumieć. Ale nie; mieszczą się w książce i to w książce tak znacznej jak „Korespondencja A. Mickiewicza".

Wydając w r. 1872 dwutomowy zbiór listów swego Ojca, pomieścił Wł. Mickiewicz w dodatkach drugiego tomu [1] czternaście listów Stefana Garczyńskiego (i dwa Kl. Potockiej) z lat 1832—1833 do Wincentego Turny [2]. Prawda, już w wydaniu następnem (z r. 1873) listów tych nie przedrukował, tłumacząc się brakiem miejsca, wydania zaś następne zepchnęły w cień pierwodruk. To też stało się, że listy owe uszły uwagi całkowicie i dziś są gruntownie nieznane. Nie wie o nich badacz twórczości Garczyńskiego T. Pini, nie wspomina ich autor życiorysu poety w „Stu latach myśli polskiej", nie notuje ich nawet Korbut; poprostu przepadły „w niepamięci piasku".

A stało się tak z dużą szkodą. Listy bowiem są bardzo interesujące, przynoszą z najbliższego kręgu poety sporo danych, dla historyka literatury nieobojętnych. Przedewszystkiem wiele można się stamtąd dowiedzieć o twórczości samego Garczyńskiego, o losach jego utworów. W szczególności koleje paryskiego wydania jego „Poezyj" prześledzić tam możemy poprostu krok za krokiem.

Najpierw, w styczniu 1832 r., zabiega Garczyński, żeby je drukować w Poznaniu; w tym celu odpis ich miał pójść niebawem na ręce W. Turny. Nie wszystko jednak dałoby się tam — ze względu na cenzurę — pomieścić; stąd też przyjaciele „namawiają mnie, żeby obozowe rzeczy (t. zn. „Wspomnienia z czasów wojny 1831" i „Sonety wojenne") wprost do Paryża przesłać". Do lata jednakże plan się zmienia. „W Poznaniu

[1] Korespondencja A. Mickiewicza. Paryż 1872. Zob. II, 271—285.
[2] Syn kapitana Adama Turny, właściciela Obiezierza, ur. w r. 1803.

drukować żadnym sposobem nie można". Ale że druk „w Paryżu bardzo wiele kosztuje", poeta zabiega o środki sposobem podówczas zwyczajnym: przez prenumeratę... Pomoże mu w tem Turno, a jeszcze wydatniej bliski powinowaty, Heljodor hr. Skórzewski. Pieniądze nadsyłane do Paryża z tego były źródła. Słyszymy też wiele o kolejnym postępie wydania paryskiego, szczegóły zresztą znane z korespondencji Mickiewicza, który — jak wiadomo — wziął był na siebie przygotowanie tekstu, korektę, nawet kłopoty materjalne wydania.

Ważniejsze jest to, co listy przynoszą do historji samych tekstów poezyj. Widzimy więc najpierw, że nie wszystko, co Garczyński pierwotnie zamierzał ogłosić, dostało się do wydania. Dn. 27 sierpnia 1832 r. informuje on Turnę o zawartości swej teki poetyckiej; w wykazie tym prócz utworów potem drukowanych spotykamy inne, dotąd nieznane: „Spiew wieszcza" i „Mój sen", wymienione tam wśród poematów obszerniejszych. O pierwszym z tych utworów jeszcze się tu wspomni, drugi zaliczyć wypadnie do zatraconych bez śladu. Z innych napomknień wnosić można, że Garczyński, ile tylko zdrowie pozwoliło, nie zalegał pola twórczości do ostatnich miesięcy, pracował, póki mógł, iście gorączkowo; pod koniec r. 1832 uzupełniał i wykończał cykl „Wspomnień obozowych".

Do ostatniej też chwili przykładał ręki do naczelnego swego dzieła, do „Wacława". Nie odrazu pod tym tytułem mówi o nim w korespondencji; jeszcze we wrześniu 1832 r. nazywa poemat postaremu: „Apostata", co miało być tytułem części pierwszej „Wacława". Ta „część I" wszelako obejmować miała początkowo obie znane dzisiaj części poematu, które w ten sposób stanowiły pierwotnie jedną kompozycyjnie całość. W tymże liście (z 16. IX. '32) podaje Garczyński spis tytułowanych ustępów poematu: „1. Kościół, 2. Sny prorocze, 3. Nauka, 4. Nieznajomy, 5. Odmiana, 6. Bal maskowy, 7. Związek, 8. Uczta przerwana, 9. Powrót do domu, 10. Scena zamkowa, 11. Wyjazd". Wszystko to — jak widzimy — stanowi jeden nierozdzielny ciąg. O podziale poematu na dwie główne części przeczytamy dopiero w liście z dn. 7 grudnia t. r. Z listu 25 lutego 1833 dowiadujemy się, że napisana dotąd część „Wacława" stanowi połowę zamierzonej całości: „Napisałem dwie części, dwie drugie zostawiam sobie na potem".

Z przytoczonego zaś wyżej rejestru ustępów widać, że i w treści poematu zaszły w ostatniej chwili zmiany. Mniejsza, że wykaz podaje ustępów 11, podczas gdy w wydaniu drukowanem jest ich 12; bo z tytułu wnosić wolno, że dzisiejszy ustęp pierwszy i drugi („Wielki Piątek", „Powrót z kościoła") mogły stanowić pierwotnie jedną całość. Inny był również początkowo układ ustępów; „Wyjazd", który jest obecnie ustępem przedostatnim, pierwotnie następować miał po „Scenie zamkowej" i zamykał fragment. Co jednak najważniejsze, wynika z wykazu, że pierwotne ustępy: 8. „Uczta przerwana" i 9. „Powrót do domu" miały niechybnie treść inszą niż dzisiejsze na ich miejscu ustępy 3 i 4 części II: „Obrazy" (ze scenami somnambulicznemi) i „Odkrycie tajemne" (z fragmentem poetyckiego dziennika Wacława). Widzimy zatem, że poeta jeszcze w ostatnich miesiącach 1832 r. przerabiał swój utwór, pewne części wyłączał, a inne dopisywał, w szczególności, że sceny magnetyczne na cmentarzu należą do najpóźniejszych.

Poza temi szczegółami, podanemi bezpośrednio, niejedną jeszcze wydobyć możemy z listów Garczyńskiego informację pośrednią o kształtowaniu się jego dzieła poetyckiego. Więc np. właśnie w toku wspomnianej wyżej pracy prosi on przyjaciela o przysłanie Homera w przekładzie Dmochowskiego, natarczywie domaga się przysłania „Marji" Malczewskiego „jak najprędzej"; dzieła te nie były widać obojętne dla twórcy „Wacława". To znowu zaraz z początkiem r. 1832 donosi, że „na gwałt" uczy się po angielsku — dla Byrona. „Zdaje mi się, — dodaje -- że po przeczytaniu Byrona o połowę duszy przybędzie" [1].

Ostatecznie nie to wszystko jeszcze jest w omawianej korespondencji najciekawsze; niejedną z podanych wyżej wiadomości znaliśmy — choć może mniej szczegółowo — z drukowanej korespondencji Garczyńskiego z Mickiewiczem. Ciekawe są te wiadomości, które Garczyński komunikuje przyjacielowi właśnie o Mickiewiczu. Naturalnie, o jego zabiegach około paryskiego wydania „Wacława" i innych poezyj mowy tam najwięcej, ale i o jego własnych dziełach, zwłaszcza o „Dziadów" cz. III słyszymy to i owo. Najpierw o wydaniu. Dn. 27 sierpnia 1832 r. donosi Garczyński z Drezna: „Mickiewicz w Paryżu; drukuje cz. III „Dziadów", którą tutaj napisał". Ważniejszy szczegół kryje się w liście z d. 6 kwiet. 1833 r. Najwidoczniej Turno, przeczytawszy dramat Mickiewicza, zapytał Garczyńskiego o znaczenie Męża z „Widzenia X. Piotra". Oto co otrzymał w odpowiedzi: „Pytasz, co znaczy 44? Adam sam nie wie; czas to ma wyjaśnić". Niema wątpliwości, że odpowiedź ta opiera się na rozmowach prowadzonych z Mickiewiczem w Dreźnie, w okresie powstawania „Dziadów", kiedy poeta czytał w szczupłem gronie przyjaciół sceny świeżo napisane. Tem bardziej więc godna jest uwagi częściowa zgodność tej odpowiedzi z tem, co kiedyś później usłyszał od Mickiewicza Goszczyński: „położył liczbę 44, nie wiedząc, dlaczego tę liczbę a nie inną położył". Obie relacje do pewnego stopnia nawzajem się potwierdzają, a więc zyskują na sile.

Najciekawsze wszelako w przypomnianej korespondencji Garczyńskiego są te wzmianki, które w rezultacie pozwolą nam uzupełnić spuściznę poetycką Mickiewicza jednym jeszcze, dotąd w tym charakterze nierozpoznanym utworem.

Wiadomo było od czasu studjum T. Piniego o rękopisie poezyj Garczyńskiego w przerobieniu przez Mickiewicza [2], że przygotowując do druku m. in. wiersz „Zdrajca", uchylił Mickiewicz całkowicie pierwotną redakcję ostatniej (IV) jego części i zastąpił ją utworem własnym, o pięciu zwrotkach safickich, w tekście bardzo mało przypominającym redakcję Garczyńskiego. Odtąd ustęp ten pomieszcza się pospolicie w wydaniach zbiorowych poezyj Mickiewicza jako jego literacką własność. Nie wiedzieliśmy, że podobny, tylko jeszcze dalej idący wypadek zaszedł przy innym także utworze: Mickiewicz i drugim razem dopisał za przyjaciela część wiersza

---

[1] Po roku Garczyński opanował już ten język. „Byrona — pisał Mickiewiczowi 25. II. 1833, — czytam w oryginale z uniesieniem, z zachwyceniem prawdziwem. „Wacława" byłbym lepiej, mocniej napisał, gdybym wprzódy był znał tego arcymistrza" („Koresp. A. Mickiewicza". Paryż 1880, III 173).

[2] T. Pini miał do dyspozycji, użyczone z Lubostronia hr. Skórzewskich, autografy poezyj Garczyńskiego i zużytkował je w osobnej rozprawie w „Pam. Tow. Liter. im. Mickiewicza", VI (1898) 435 n. Zawarte poniżej informacje o autografach czerpano z tej rozprawy.

i to taką, której on sam napisać nawet nie próbował. Stopień własności jest więc tam jeszcze wyższy niż w wypadku poprzednim.

O tem współpracownictwie Mickiewicza jako o fakcie dokonanym wspomina Garczyński w listach do Turny dwukrotnie. Raz d. 27 sierpnia 1832 r., wymieniając utwory swe w rękopisach, przygotowane do druku. Na drugiem miejscu, zaraz po „Apostacie", kładzie on tam „Śpiew wieszcza" i dodaje: „część pierwsza moja, drugą Mickiewicz dorobił". O wierszu „Śpiew wieszcza" nigdzie już później drugi raz nie słyszymy". Niema go też wśród rękopisów lubostrońskich. Nie wyłączone, że był on identyczny z innym, o którym Garczyński mówi później p. t. „Śpiewak". „Śpiewak" mianowicie był początkowo przeznaczony do druku wśród „Wierszy różnych" wydania; ale później miał paść ofiarą opieszałości jednego z druhów poetów. Pisze o tem Garczyński z Bazylei d. 17 czerwca 1833 r.:

„Do mojej pierwszej części „Śpiewaka" dorobił Mickiewicz drugą, a Bohdan [Zaleski] miał trzecią dorobić, czego do dnia dzisiejszego nie uczynił i tem druk odwlekał. Skończyło się na tem, że „Śpiewak" zupełnie umieszczony nie będzie".

Świadectwo współpracy poetyckiej Mickiewicza jest tu zatem najwyraźniejsze.

Kłopot mógłby być z tem, że w paryskiem wydaniu „Poezyj" Garczyńskiego istotnie niema utworu pod tym tytułem. Jednakowoż z dochowanych w Lubostroniu autografów Garczyńskiego, tych samych, które — przysposobione przez Mickiewicza — służyły do druku wydania paryskiego, łatwo się przekonać, że takim tytułem pierwotnie oznaczony był wiersz, który w wydaniu drukowanem nazywa się „Król i giermek". Jest to, jak głosi napis pod tytułem, „romans", składa się zaś z dwóch części (w pdr. „część II" jest wyraźnie zaznaczona, chociaż cz. I nie ma tego nadpisu), i nietrudno dostrzec, że jest on rzeczywiście nieukończony.

W części I — jeżeli godzi się przypomnieć tutaj treść utworu — słyszymy, jak młody giermek podczas uczty na żądanie Króla śpiewa pieśń, pieśń pełną smutku i rozpaczy: życie niosło mu tylko zawody, miłość ku „niebiance", pościg za sławą rycerską — wszystko skończone klęską.

Nic mię już więcej na ziemi nie trzyma;
Poznałem rozpacz, — zapaleniec młody.

Król, takiej pieśni ponurej nierad, wypędza giermka i śpiewa sam piosenkę o rycerzu szczęśliwym, którego życie splata się z triumfów: na łowach, przy uczcie i w miłości. Radosny wtór biesiadników głuszy milknącą w dali smutną pieśń giermka.

Dla mnie już szczęścia i nadziei niema!

W części II giermek „wśród ubogiej chatki" przy młodej żonie nuci pieśń szczęścia, które mu widać wreszcie się uśmiechnęło. Król, wracając z polowania, zatrzymany tym śpiewem, stanął pod oknem, a oczarowany „nadludzką pięknością" młodej żony giermka oddalił się w smutku, teraz on skolei zanucił refren:

Dla mnie już szczęścia, już nadziei niema.

Nietrudno dosnuć resztę smutnego „romansu". W części III Król zapewne miał zniszczyć szczęście giermka, odbierając mu żonę. W ten sposób jego pieśń rozpaczna z cz. I ziścić się miała w całej pełni. Byłby to rzeczywiście „śpiew wieszczy". W ten sposób możnaby istotnie przypuścić

identyczność utworów wspomnianych w listach Garczyńskiego pod dwoma tytułami. Wcale jest prawdopodobne, że „Śpiew wieszcza", „Śpiewak"‘ „Król i giermek" to jeden i ten sam utwór. Wracając do tekstu „Giermka" widzimy, że Zaleski faktycznie części trzeciej nie napisał, utwór nie jest zakończony.

Czy Mickiewicz napisał drugą? Co do tego nie może być wątpliwości. Rozprasza je wszystkie — autograf. Zachował się w lubostrońskim dworze, a właściwie zachowały się dwa autografy tego wiersza. Jeden, ręki Garczyńskiego, ma tytuł „Śpiewak" i obejmuje tylko część I utworu; pod tekstem dopisek: „Druga część później". Tekst ten został- niewątpliwie ręką Mickiewicza — przekreślony. Autograf drugi, cały ręki Mickiewicza, zawiera odpis części I, przerobionej zresztą przez Mickiewicza, tudzież tekst cz. II z kilkoma warjantami, świadczącemi — jak przyznaje Pini — nie o myłkach przy kopjowaniu, ale raczej o zmianach myśli i ich wyrazu. Pini wprawdzie był zdania [1], że cały tekst Mickiewicza jest kopją, że i drugą część utworu przysłał Garczyński rzeczywiście osobno, „a Mickiewicz ją tylko poprawił", ale twierdzenia tego niczem nie popiera. Poprzećby go nie mógł. Tekstu cz. II ręką Garczyńskiego niema wśród autografów. Zresztą pocóż i kiedy miałby go Garczyński pisać. Przecież d. 17 czerwca wiedział, że część tę „dorobił" Mickiewicz; wiedział nadto, że utwór mimo to nie pójdzie do druku. Z jakiej jest daty autograf Mickiewiczowy tego tekstu, — nie wiemy; w każdym jednak razie jest sprzed 4 lipca, bo w tym dniu poeta wyjechał z Paryża do Szwajcarji, autograf zaś pisany jest niewątpliwie w Paryżu. Przesyłając tę kartkę Domejce, dopisał Mickiewicz na niej odręcznie wskazówki drukarskie:

„Wiersz „Na rocznicę" umieścić, jeśli można, na końcu „Wspomnień rewolucji", przed wierszem ostatnim, który się zaczyna od słów: „Nie miękkie rymy..." etc. Potem położyć („Śpiewaka") „Germka", którego zmusili przepisać, a reszta niech pozostanie w porządku takim, jak jest".

Jeśliby nawet przyjąć ewentualność zupełnie nieprawdopodobną, że Garczyński dowiedział się po 17 czerwca o zmianie zamysłu Mickiewicza, no i o tem, że to on sam ma ostatecznie pisać część II wiersza, kiedyżby ją napisał? Przecie nie w drodze z Bazylei do Genewy, schorowany i dogorywający, wtenczas kiedy o swojem zdrowiu tyle już tylko miał do napisania przyjacielowi: „już sił zupełnie nie mam, piersi zupełnie osłabione, nerwy potargane. Gdyby nie anielskie staranie p. Potockiej, byłbym skończył niezawodnie w drodze. Z listu d. 17. VI. 1833 widać najoczywiściej, że przypuszczenie takie byłoby poprostu absurdalne. Niema dwu zdań, autorstwo Mickiewicza dla II cz. „Króla i giermka" jest całkowicie pewne [2].

Po tem wszystkiem godzi się chyba przypomnieć tutaj tekst owej części II wiersza, po raz pierwszy przyznanej prawemu autorowi.

---

[1] „Pam. Tow. Liter." VI 462.

[2] Dodać należy, że Mickiewicz pomieścił ten wiersz na samym końcu tomu II, na str. 139—142, już po „Reducie Ordona", którą, jako utworem zaczerpniętym z opowiadania Garcyńskiego, zamknąć chciał pierwotnie całość wydania.

KRÓL I GIERMEK

ROMANS

Cz. II

W maleńkiej wiosce, wśród ubogiej chatki,
Siedział ów giermek, — przy nim młoda żona,
Ręce złożywszy na jego ramiona,
I poglądając na wesołe dziatki,
„Śpiewajmy" — rzekła; wziął lutnię ze ściany,
Śmiejąc się, nucił i grał na przemiany:

Wstać na pracę ze skowronkiem,
Iść w ogrody lub na niwy,
Wracać z zachodzącem słonkiem!
Z rana, w wieczór — jam szczęśliwy.

Gdy ze strzelbą idę w pole,
Na twój obiad szukam ptaka,
W wieczór widzę go na stole!
Co za szczęście, rozkosz jaka!

Kiedy w wieczór siedząc marzę,
U nóg dziatwa się uwija,
Gdy drzemię przy dzieci gwarze,
Czyjaż rozkosz żywsza, czyja?

Noc w pieszczoty jest bogata,
Dzień rozjaśnia szczęście wkoło;
Chciałbym żyć, przeżyć wesoło
Moje lata, koniec świata [1].

Tak nucąc, giermek ujrzał cienie pod oknami:
Był to Król, który nocą wracał z polowania
I przed giermka chałupą stał z towarzyszami,
Przywabiony odgłosem lutni i śpiewania.

I wcisnął oczy w szyby, i widział zdumiony
Tyle szczęścia w samotnym, w cichym giermka domu!
I uważał nadludzką piękność jego żony,
I pochyliwszy głowę, westchnął pokryjomu.

Giermek ich poznał, — prędko odjechali —
Długo w ciemności ścigał ich oczyma
I słyszał tylko tę piosenkę w dali:
„Dla mnie już szczęścia, już nadziei niema!"

*

Odzyskany w ten sposób ustęp wiersza mieścić się winien odtąd w wydaniach zbiorowych poezyj Mickiewicza obok wiersza „Zdrajca", jako osobliwy objaw przysługi poetyckiej autora dla dogorywającego przyjaciela.

Kraków. *Stanisław Pigoń.*

---

[1] Ostatnia zwrotka piosenki jest powtórzona dosłownie z pieśni Króla w cz. I, jest więc pióra Garczyńskiego.

SPRAWA WIAROGODNOŚCI »LISTÓW Z PODRÓŻY« ODYŃCA

Wiarogodność „Listów z podróży" Odyńca oddawna była kwestjonowana. Stosunkowo prędko spostrzeżono, że nie były one współczesnemi listami, na gorąco kreślonemi wrażeniami ze wspólnego z Mickiewiczem pobytu zagranicą, lecz późno spisywanemi wspomnieniami. Chodziłoby teraz tylko o ustalenie w jakiej mierze możemy tym pamiętnikom zaufać, o ile uprawnieni jesteśmy do korzystania z nich do badań nad biografją i twórczością Mickiewicza. Pomimo zastrzeżeń Władysława Mickiewicza, Chmielowskiego i in. utrzymało się dotychczas przekonanie, że niema racji zaprzeczać bezwzględnie wiarogodności tych wspomnień. Za ostateczne sformułowanie tego poglądu należałoby uważać komentarz do wyjątków z „Listów" umieszczonych w „Rozmowach" (Dzieł Mick. t. XVI, wyd. sejm.). Jako argumenty takiego sądu wysunięto tam: niski poziom intelektualny Odyńca, który nie byłby w stanie zmyślać wypowiedzi Mickiewicza w ten sposób, żeby harmonizowały z całokształtem twórczości poety, i szczery pietyzm, jaki żywił dla autora „Pana Tadeusza".

Prof. Henryk Życzyński w szkicu świeżo na ten temat ogłoszonym [1] nie zgadza się z tą oceną wpomnień Odyńca. Przygotowując wstęp i objaśnienia do niedoszłego wydania „Listów" w Bibljotece Narodowej" na podstawie swych badań doszedł do przekonania, odmawiającego dziełu Odyńca wszelkiej naukowej wartości. W „Listach" widzi prof. Życzyński: „mistyfikację, zakrawającą na prawdziwą panamę literacką" (str. 10). W listach własnych, pisze, „miał (Odyniec) tylko zrąb pewnych szczegółów, na podstawie pamięci mógł uzupełnić pewne rzeczy, odnoszące się do zdarzeń zewnętrznych, wszystko zaś, co się odnosiło do twórczości i ducha Mickiewicza, zostało sfabrykowane i to często w sposób bardzo nieudolny, narzucający umysłowości wielkiego poety horyzont ciasny" (str. 23). Mało tego, prof. Życzyński zarzuca Odyńcowi nielojalne świadome wypaczanie myśli Mickiewicza dla osobistych celów i neguje nawet jakiekolwiek przywiązanie Odyńca do wielkiego poety (str. 15). Rozpatrzmy pokrótce te zarzuty.

Nie myślę bronić bezwzględnej wiarogodności informacyj Odyńca, pozycja to już dawno stracona. Chodzi tylko, czy można jednym zamachem pióra przekreślić całą zawartość „Listów", uznając je za źródła fałszywe i bezwartościowe? — Wydaje mi się, że byłoby to przynajmniej przedwczesne. Jak już słusznie podkreślono, trudno jest posądzić Odyńca o wybitne zdolności nawet w dziedzinie mistyfikacji. Trudno przypuścić, by mógł zmyślić wszystkie wypowiedzi Mickiewicza, tak żeby między niemi nie było sprzeczności, co więcej, żeby łączyły się z całokształtem twórczości poety. Mógł jednak skomponować niektóre z nich. Ale trzeba tego dowieść. Tymczasem dowody wysunięte przez prof. Życzyńskiego budzą pewne zastrzeżenia. Starając się wskazać źródła, z których Odyniec miał czerpać pomysły do własnej kompozycji wypowiedzi Mickiewicza, autor upa-

---

[1] Henryk Życzyński. Mickiewicz w oświetleniu Odyńca. Pamiętnik Lubelski t. II, 1934. i odbitka, str. 23.

truje między in. wpływ teoryj Taine'a. Do zdania Mickiewicza: „Klimat i natura kraju wpływać muszą koniecznie na temperament i charakter mieszkańców, płaskie, piaszczyste równiny, miałkie koryta rzek, inne już od dzieciństwa czynią wrażenie na ludziach, niż góry, skały, kwieciste łąki, lub dębowe lasy, które ani na takich płaszczyznach, ani nad brzegiem takich rzek rosną" („Listy" t. I. wyd. 1875 r.). Odyniec miałby zużytkować teorje głoszone przez modnego i poczytnego w chwili wydania „Listów" autora i przypisać je Mickiewiczowi. Tymczasem nim je rozwinął Taine, formułowała je w podobny do Odyńca sposób pani Staël, jak świadczy, choćby następujący cytat z „De l'Allemagne": „... il faut en convenir, les climats tempérés sont plus propres à la société qu'à la poésie. Lorsque le climat n'est ni sévère ni beau, quand on vit sans avoir rien à craindre ni à éspérer du ciel, on ne s'occupe guère que des interêts positifs de l'existence. Ce sont les délices du midi ou les rigueurs du nord qui ébranlent fortement l'imagination" (t. I, str. 38, Berlin 1814). Choćby więc dzięki rozpowszechnieniu książki p. Staël, opinja o wpływie klimatu na wyobraźnię musiała być już w obiegu w latach trzydziestych zeszłego stulecia i nie możemy takiego czy innego sformułowania jej w ustach Mickiewicza uważać za nieprawdopodobne.

Również trudno wydaje mi się dopatrzeć zbieżności pomiędzy stosunkiem Mickiewicza do podań i historji, a zdaniem Goethego z „Rozmów" Eckermanna, o apokryfach. Opowiadanie Odyńca o oburzeniu Mickiewicza na pedantów, którzy „obdzierają z uroku legendarnych podań sławne historyczne fakta" i o dopatrywaniu się w tem „sprawy tego samego niemieckiego djabła, który jak w religji tak i w historji, chciałby wszystkim cudownym wpływom i natchnieniom zgóry zaprzeczyć, a sam kusy i czarny wszystkiemu obciąć skrzydła i poły, i wszystkie aureole pogasić". (T. IV. str. 62), uogólnia prof. Życzyński w słowach: „Przypatrzmy się teraz rzekomemu zdaniu Mickiewicza, że krytycyzm historyczny, rozwiewając podanie przeczy wyższem natchnieniom i niszczy to, co człowieka podnosi ku górze". Wydaje mi się, iż uogólniając, w żartobliwej formie wypowiedziane, zdanie Odyńca-Mickiewicza trudno jest oddać jego właściwe znaczenie, można powątpiewać, czy istotnie Odyniec podał ten sąd Mickiewicza w znaczeniu bezwzględnego protestu przeciw krytyce historycznej. Tematem zaś przytoczonej przez Eckermanna rozmowy z Goethem był wyrażony przez pierwszego żal z powodu ciasnego poglądu na wiarogodność niektórych części Starego Testamentu: „Ich sprach gegen Goethe mein Bedauern aus über die höchst enge Ansicht, wonach einige Schriften des alten Testaments als unmittelbar von Gott eingegeben betrachtet werden, andere gleich treffliche aber nicht; und als ob denn überhaupt etwas Edles und Grosses entstehen könne, das nicht von Gott komme und das nicht eine Frucht seiner Einwirkung wäre" (Gespräche mit Goethe III, 254 Lipsk 1876). Sądzę, że filozoficzne roztrząsania Goethego, czy Eckermanna na tematy religijne bardzo słaby mogą mieć związek z poetycznem, typowo romantycznem wejrzeniem na historję Mickiewicza, względnie Odyńca. Dlatego trudno się zgodzić, żeby „Odyniec spreparował poprostu zmyślony przez Eckermanna i włożony w usta Goethego apokryf, a następnie włożył go w usta Mickiewicza" (str. 20).

Prof. Życzyński podaje więcej takich „źródeł" Odyńca. Nie wchodząc w rozpatrywanie każdego z nich, wydaje mi się, że obrana metoda, podob-

na do stosowanej w t. zw. wpływologji, nie daje oczekiwanych wyników. Bo z tego, że ktoś później wygłaszał, jako nowość, podobne zdanie co i Mickiewicz nie wynika koniecznie i niezbicie, żeby tak głęboki umysł, jakim był autor „Prelekcyj paryskich", nie mógł przedtem takich wyrażać myśli. Należałoby może szukać sprzeczności pomiędzy sądami, przypisywanemi przez Odyńca Mickiewiczowi, a jego twórczością. Tylko wykrycie takich sprzeczności, lub przynajmniej załamań w ciągłości rozwoju ideologji poety i dokładne ich zanalizowanie, może rzucić światło na „amplifikacje" Odyńca.

Wina Odyńca leży przedewszystkiem w tem, że wspomnienia swoje ogłosił, jako listy, gdyby je nazwał pamiętnikami, nicby właściwie zarzucić im nie można było. Wszak nie ulega wątpliwości, że prawie każdy pamiętnikarz opracowywał swoje wspomnienia i korzystając z nich trzeba się liczyć ze świadomemi i nieświadomemi omyłkami, subjektywnem oświetleniem i wyborem opowiadanych faktów. Podkreślić jeszcze należy formę pamiętników, dbałość autorów o ożywienie ich, dosłowne jakoby przytaczanie całych rozmów. Odyniec nie byłby więc wyjątkiem! Petersen zwrócił uwagę na nieścisłość „Rozmów z Goethem" Eckermanna. Wydaje mi się, że przy bliższem rozpatrzeniu „Rozmów z Byronem" Medwina natrafiłoby się również na subjektywizm autora. Przecież rozmów swoich z poetą nie stenografował!

O wiele poważniejszym jest zarzut świadomego wypaczania „myśli poety" i to, w interesie własnym Odyńca. Gdyby rzeczywiście prof. Życzyńskiemu udało się to udowodnić, to Odyniec zasłużyłby na bezwzględne potępienie. Czy zarzut jednak został udowodniony?

Prof. Życzyński zarzuca Odyńcowi, że przerabiając i komponując swe listy zatracił perspektywę, — że w owym czasie nie mógł widzieć w Mickiewiczu genjusza. Sąd ten może słuszny, co do wiersza Odyńca „Po powrocie z Wezuwjusza" (T. IV, str. 68) i niektórych, prawdopodobnie późniejszych, podkreśleń, nie da się jednak rozciągnąć na cały utwór. Zresztą Mickiewicz dla swoich kolegów był już genjuszem, bodaj że po napisaniu „Kartofli", Malewski widział w nim drugiego Schillera. Odyniec zamęcza Mickiewicza korektą swoich utworów i odzywa się o nim z wielkim respektem. „...jedna rozmowa z Adamem więcejby mi zapewne ze względu pisania przyniosła korzyści, niż przeczytanie dziesięciu ód Horacjusza, które dopiero czytam i uczę się na pamięć, pełniąc radę Adama" (Odyn. do Czecz. 16. VII, 1823 Arch. F. T. IV, str. 272). Pozatem w 1829—30 Mickiewicz cieszył się sławą już europejską, może większą, niż bezpośrednio po przystąpieniu do towianizmu.

Prof. Życzyński jest zdania, że w oświetleniu Odyńca: „Młody poeta polski jest tu już takim samym olimpijczykiem, jakim był Goethe w starości" (str. 6). Jednak na str. 16 autor, jakby cofnął swój zarzut, pisząc, że „Listy z podróży" miały więcej służyć samemu autorowi, niźli rozjaśnieniu ducha i twórczości Mickiewicza. W dążeniu do tego egoistycznego celu nie waha się ściągnąć wielkiego wieszcza z piedestału na poziom swego umysłowego ograniczenia". Już sam zresztą ton gawędziarski listów uniemożliwia ujęcie postaci Mickiewicza, jako olimpijczyka. Słusznem jest zwrócenie uwagi na pewne podobieństwo stylizacji „Listów" na wzór „Rozmów" Eckermanna — lecz ograniczyć to należy do formy przytaczanych

wypowiedzi Mickiewicza, stosunkowo do rozmiarów książki nielicznych. Eckermanna nie interesuje życie codzienne Goethego, — autora „Fausta" inaczej nie widzimy, jak w aureoli sławy, tymczasem Odyniec przedstawia nam Mickiewicza na tle towarzyskiem, wśród drobnych przygód i przyjemności podróży. Naszego poetę widzimy w oświetleniu „Listów", jak wyraził się, cytowany z innej okazji w rozprawie, Chmielowski: „w szlafroku, codziennej prozie życiowej, a wielkość jego tylko przez szczeliny" (Ateneum 1878).

Cięższy jeszcze zarzut stawia Odyńcowi prof. Życzyński: „Życie Odyńca nietylko nie miało w sobie nic z wallenrodyzmu, ale było żywem jego zaprzeczeniem. Rozumiemy, że w tych warunkach nie mógł mu być miłym „Konrad Wallenrod". W tej animozji jednak poszedł tak daleko, iż poprostu rozgłosił, jakoby Mickiewicz wyparł się później idei wallenroda, a dla poematu stracił serce" str. 15. Tymczasem wiemy, że w liście z 1832 r. B. Zaleski, pośrednicząc między Mickiewiczem a Nabielakiem w sprawie przekładu utworów poety, pisze, że Mickiewicz pochwala projekt: „nie chce tylko by Wallenrod był tłumaczony, którego najmniej ceni z dzieł swoich". Jeżeli więc Odyniec opowiada, że z listów jego (t. j. Mickiewicza) i rozmów w Petersburgu, wie, że on sam nie tak bardzo lubi Wallenroda, a przynajmniej jego całości" (t. I, str. 128), to raczej wnioskować należy tylko, że niechęć Mickiewicza do „Konrada Wallenroda" wzrastała z biegiem lat, aby mógł kiedyś oświadczyć, że gdyby był bogaty wykupiłby i spalił wszystkie wydania poematu („Rozmowy" Dzieł Mick. t. XVI, wyd. sejm. Wielogłoski, str. 283).

Dalej zarzuca autor Odyńcowi, że przedstawia go na tle salonów, obiadów i romansów, gdy prof. Życzyński dopatruje się w działalności Mickiewicza w latach 1829—30 podobieństwa z ks. Robakiem w karczmie. Na poparcie tego mniemania przytacza sąd współczesny Wł. Zamoyskiego o Mickiewiczu: „zadziwiła mnie i do zastanowienia pobudziła tak niespodziewana dla mnie wytrawność polityczna w wieszczu, któregom całą duszą uwielbiał. Wytrawność ta pochodziła z głębokiej, sumiennej, rzetelnej miłości ojczyzny, która to miłość odkrywała mu prawdę i dawała wszechstronne jasnowidzenie". Poprzednio jednak pisze Zamoyski w swych wspomnieniach, że Mickiewicz „ganił zapędzanie się opozycji warszawskiej na drodze niedowarzonego parlamentaryzmu. Ubolewał nad walką prowadzącą przy tak nierównych siłach do nieuniknionej klęski". (Kallenb. t. I, 428). Widać więc z tych słów, że w tym czasie poeta nie mógł brać w polityce czynnego udziału. Ostatnie badania nad pobytem Mickiewicza w Rosji wykazały, że nie odgrywał on tam roli Konrada Wallenroda, dlaczego przypuszczać, żeby miał być księdzem Robakiem w Rzymie? Może być, że okaże się, iż wartością wspomnień Odyńca jest właśnie przedstawienie tego okresu życia Mickiewicza w prawdziwem świetle wędrówki po nowym kraju. Wędrówki owocnej, może decydującej dla przyszłej twórczości, ale z tego może nie zdawał sobie sprawy sam poeta, a cóż dopiero mógł o tem wiedzieć Odyniec! Twierdząc, że Odyniec fałszuje i okrada Mickiewicza, prof. Życzyński wątpi w szczerość przyjaźni autora „Izory". Oczywiście dystans między poetami był zbyt wielki, aby o przyjaźni takiej, jakby ją rozumiał Mickiewicz, mogła być mowa, ale to jeszcze nie neguje dobrych między niemi stosunków. Świadczą o tem zresztą późniejsze listy

Mickiewicza do Odyńca [1]. Tymczasem list Odyńca, autentycznie współczesny, do Leonarda Chodźki w Paryżu następującej treści: „Nie uwierzysz, jaką mam tentację ruszyć do Paryża, o dwa dni tylko będąc od niego. Myśl, że znalazłbym tam ciebie wiele się do tego przyczynia. Lecz że ta podróż zmieszałaby nam ułożone plany, odkłada ją na potem. Jeśli Bóg żyć pozwoli jedziemy do Rzymu z Mickiewiczem"..., komentuje prof. Życzyński: „O Mickiewiczu jest tu jedna sucha wzmianka. Najważniejszym zaś jest fakt, że Odyniec nietylko, że nie jest dumny z towarzyszenia Mickiewiczowi, lecz się źle czuje i radby uciec od niego do Chodźki do Paryża". Zdaje się, że stronniczość tego komentarza rzuca się w oczy. Jednocześnie przecież znamy fragmenty ocalałych kart notatnika z podróży Odyńca (podaje je Pług w Pam. Lit. R. III, str. 265). Czytamy tam „Jutro o południu Adam już wyjeżdża. Nie zabawię dłużej, jak do wtorku. Jadę do Paryża. Idę ostatni raz pakować rzeczy Adama. Smutne zatrudnienie. Dnia 10. (X) godz. 8 r. Jezus, Jezus, jak mi smutno, ani snu co nocy, ani chwili spokojnej. O południu wyjedzie, Boże mój Boże. Cóż jest szczęście ludzkie, co tak prędko przemija"...

A dalej jeszcze: „Pojechał! Nie tu pisać, com cierpiał. O niechby go Bóg zdrowo i szczęśliwie prowadził! Kocham go więcej, niż kiedy. I on płakał". Urywek ten zdaje się świadczyć wymownie o przywiązaniu Odyńca do Mickiewicza.

Odyniec ugodowiec, autor wiernopoddańczych wierszy do Cara, Odyniec mierny niewybredny poeta, Odyniec człowiek słaby i próżny, może być dla nas niesympatyczny, ale czy mamy dostateczne podstawy, żeby z niego gwałtem robić czarny charakter?

Listy z podróży są ciekawym dokumentem życia, wyobrażeń i sądów przeciętnego człowieka, współczesnego Mickiewiczowi. Trzeba go tylko dojrzeć pod odświętną szatą własnych wyobrażeń o sobie. Nie należy wymagać od niego zbyt wiele — trzeba go brać jakim jest, nie spodziewając się tego, czego on dać nie był w stanie.

„Wspomnienia" Odyńca jako źródło wiadomości o Mickiewiczu wymagają krytyki, drobiazgowej, podejrzliwej — ale zarazem ostrożnej, rzeczowej i przedewszystkiem objektywnej.

Warszawa. *Stefanja Land.*

---

[1] Listy z 28. VIII. 1835, 18. VII. 1836, z grudn. 1836 18. VIII. 1837.

Z BADAŃ NAD TWÓRCZOŚCIĄ STANISŁAWA BRZOZOWSKIEGO

MONOGRAFJA BOGDANA SUCHODOLSKIEGO I PRACA JERZEGO BRAUNA

Brzozowski jest jednym z nielicznych pisarzy Młodej Polski, który nie przeżył się i nie skostniał, jako uznana, a więc obojętna dla wszystkich znakomitość. Przeciwnie w oderwaniu od tła, od ówczesnych sporów politycznych, interesów, ten „Piłat w Credzie polskich wierzeń, polskich tragedyj i polskiej blagi" [1], staje się postacią coraz bardziej interesującą i pasjonującą. Bolesna zagadka jego „sprawy" nie przestaje interesować: co jakiś czas ukazują się wezwania do jej wyświetlenia, do dania jasnej odpowiedzi, czy Brzozowski jest męczennikiem ówczesnych stosunków, czy też fenomenem obłudy [2]. To zajęcie się człowiekiem świadczy o tem, że istnieje potrzeba właściwego ustosunkowania się do pisarza, któremu epoka współczesna tak dużo zawdzięcza. Tego samego dowodzą wołania o zbiorowe wydanie jego pism, o udostępnienie jego twórczości.

Pierwszy projekt wydania zbiorowego upadł, obecnie słyszy się o inicjatywie Instytutu Literackiego, który zamierza wydać pisma Brzozowskiego, pod redakcją Stefana Kołaczkowskiego. Dowodem zainteresowania jest także ilość i jakość publikacyj, poświęconych twórczości Brzozowskiego, a także ożywiona dyskusja, która toczyła się po ukazaniu się pierwszej obszernej monografji [3]. Monografja Bogdana Suchodolskiego o Stanisławie Brzozowskim (Warszawa 1933, s. 287), jak trafnie zauważył jeden z pierwszych jej recenzentów [4], trudna jest do strawienia zarówno dla wielbiciela Brzozowskiego, jak każdego polskiego czytelnika, interesującego się „wiedzą o literaturze". To stwierdzenie nie jest bynajmniej jej oceną ujemną, lecz dowodzi, że przynosi ona postawienie problemów ważnych, interesujących bez względu na to, czy czytelnik zgodzi się na ich rozwiązanie przez autora.

Ponieważ książka ta jest interesująca przedewszystkiem ze względu na temat, zajmę się wpierw sprawą „mitu" o Brzozowskim, który ta książka tworzy, następnie przejdę do sprawy ogólniejszej: mianowicie do sprawy „historycznie uwarunkowanej oceny" dorobku myślowego pisarza.

We wstępie autor wyznacza sobie zakres badania: wyrzeka się psychologicznego wejrzenia w duszę autora, ponieważ nie ma do tego dostatecznego materjału biograficznego i poprzestać chce na opisie i charakterystyce idei. Rozwinięcie i pełniejsze uzasadnienie tego stanowiska przynosi artykuł w „Pionie" [5]. Suchodolski stwierdza, że psychika Brzozowskiego może być skonstruowana wyłącznie na podstawie jego dzieł — czy to jest mało? Jeżeli się pominie nawet wszystkie bezpośrednie wypowiedzi Brzozowskiego o sobie, to czyż sam „ton" „Legendy" nie przykuwa bardziej uwagi czytelnika i badacza, czyż nie daje więcej pozytywnych danych o psychice jej autora, niż streszczona, intelektualistycznie interpretowana

[1] Irzykowski i Ortwin: „Lemiesz i szpada".

[2] Żeromski w „Elegjach", Skwarczyński w „Drodze" 1922, wiele artykułów w „Wiadomościach Literackich" w latach 1926—1927.

[3] Patrz mój artykuł w „Poloniście". Rok IV, zesz. V.

[4] Kazimierz Wyka: „Pion" 1933, nr. 13.

[5] „Pion" 1934, nr. 6.

ideologja. Gdybyśmy o Brzozowskim i jego życiu wiedzieli tylko tyle, że jest autorem „Legendy" — to nie wychodząc poza zakres tego dzieła, wczytując się tylko w jego płomienne wezwania, moglibyśmy ująć może nieco mglisto, osobowość jej autora — apostoła wielkiej idei, człowieka, uzbrojonego jedynie w moc swej wiary, idącego zmieniać świat i ludzkość. Trudno także zgodzić się na odrzucenie „Pamiętnika", jako źródła poznania Brzozowskiego — bo te rozproszone karty pisane dorywczo, zawierające zwierzenia Brzozowskiego, dotyczące najrozmaitszych spraw i dziedzin jego życia i twórczości, te niemal pojedyńcze zdania rzucane w chwilach zwątpienia, niemocy, zniechęcenia, trudno uznać za „dzieło" — a więc widzieć w nich coś konsekwentnego, przemyślanego i opracowanego.

Suchodolski zwraca uwagę, że stanowisko jego było wynikiem konieczności — braku korespondencji, znajomości życia pisarza, — otóż wydaje mi się, że ułatwiłyby one „psychologiczne wejrzenie" w duszę Brzozowskiego, tylko przy zasadniczej zmianie stanowiska wobec niego: trzeba byłoby ujmować łącznie charakter, czy „formę liryczną" myśli Brzozowskiego z jej zawartością. Byłyby one jedynie uzupełnieniem i pomocą w badaniach nad twórczością Brzozowskiego, a nie conditio sine qua non pełnego jej poznania, jak tę sprawę ujmuje Suchodolski.

Wobec założeń wyrażonych we „Wstępie", zaskakuje czytelnika „Zamknięcie", które przynosi syntezę tego, czego starał się nie robić w całej książce, a robi nagwałt w „Zamknięciu". Zawiera ono bowiem próbę „psychologicznego" ujęcia myśli i twórczości Brzozowskiego, stwierdza, że pełna charakterystyka pisarza może być dokonana tylko wtedy, gdy możliwe będzie głębsze wniknięcie w jego psychikę. Dlatego zdziwionemu czytelnikowi może się wydać, że „Zamknięcie" stanowi przekreślenie tego, co było trudem całej książki, stwierdzeniem, że nie w tem, czem autor się zajmował tkwi istotna wartość publicystycznego dorobku Brzozowskiego.

W poszukiwaniu „ideologji głównej" Brzozowskiego, autor dążył do stworzenia jedności logicznej, chciał zebrać rozproszone karty jego myśli w całość logiczną, próbował zrobić z nich system, czy szereg systemów, dających się wydedukować myślowo jeden z drugiego. Zajął w ten sposób wobec pism Brzozowskiego stanowisko, które za niewłaściwe uważał autor „Legendy" i przed którem najgoręcej się bronił.

„Wogóle chciałbym, żeby czytelnik zrozumiał, że moje książki są zawsze systematem wezwań i podniet intelektualnych; że nie mają gotowej treści i napróżnoby jej w nich szukał. Moją rzeczą jest czytelnika tak zaskoczyć, usytuować, by, jeżeli chce on zgody z sobą i życiem, musiał myśleć i znaleźć mniej więcej te myśli, o które mi chodzi [1].

Z tego założenia wypływa główna troska autora monografji: przekonanie czytelnika, że np. przejście od idealizmu do konkretnego realizmu dziejowego było konieczne, bo przecież idealizm nie jest pozycją mocną i łatwą do obronienia. Ktokolwiek wczytał się w „Legendę", wie, jak Brzozowski mało dbał o mocne pozycje i jeżeli ich bronił, to takiemi argumentami, któremi można obronić wszelką pozycję. Np. w ten sposób stara się przekonać czytelników o słuszności swej myśli: „Pojąć tu trzeba, że tu dochodzi do głosu nie punkt widzenia, lecz prawda, że niema mowy o mojem osobistem przekonaniu, o niczem osobistem, ale, że poprostu jest tak, jak ja tu to mówię" [2].

---

[1] „Głosy wśród nocy" str. 8.
[2] „Legenda", st. 183.

Nie w rozumowaniu i argumentach leży siła oddziaływania Brzozowskiego — jego książki to system podniet, to „nowy organ myśli" sugerowanej czytelnikowi z ogromną siłą. Brzozowski wcale nie chce nikogo przekonać, on chce swoje stanowisko narzucić: stąd to porównywanie ongiś przez Irzykowskiego do wbijania gwoździ w mózg, powtarzaniem w kółko tych samych myśli, stąd wezwanie do siedmiokrotnego odczytania „Legendy". Stąd ten ciągły kontakt z czytelnikiem, to ciągłe zwracanie się w drugiej osobie do tych, którzy czytać będą jego książkę. Często ten wielki twórca „wzruszeń filozoficznych"[1] chce wytworzyć dla swego czytelnika te same warunki, w których ujrzał swoją prawdę. „Odłóżcie książkę, aż stanie przed wami, to co mówię, aż uczujecie Grozę, trud, łamiący kości, krzyk z głębi dusz dla tragicznej wielkości człowieka, aż stanie przed wami olbrzymia masa historji"[2].

Jedności logicznej u Brzozowskiego nie znajdziemy: wszystkie usiłowania w tym kierunku będą tylko mitem, budowanym ponad rzeczywistym twórcą i człowiekiem. Dość zwrócić uwagę na dynamiczny charakter „Legendy", dzieła najbardziej konsekwentnego i usystematyzowanego: ewolucje w toku pisania książki są wręcz nieprawdopodobne. Brzozowski sam zdawał sobie sprawę z pogmatwania i ciągłego zmieniania się swych poglądów i tutaj może jest źródło tęsknoty do znalezienia tej jedności, której sam nie dostrzegł i do czytelnika, któryby się zmieniał z nim razem[3].

Najjaskrawszym może przykładem tych „zrobionych" przez autora monografji trudności w twórczości Brzozowskiego, jest sprawa socjalizmu i nacjonalizmu. Przedewszystkiem niewyjaśniona pozostaje geneza nacjonalizmu Brzozowskiego; autor coprawda ukazuje jego zarodki w młodzieńczych pismach Brzozowskiego i próbuje wyjaśnić jego zaniedbanie w ten sposób, że Brzozowskiemu brakło wystarczarczających argumentów na poparcie stanowiska, do którego się skłaniało jego emocjonalne nastawienie. Przyczyny powrotu do niego nie wyjawił zupełnie. Pominięte też zostało w wielu pismach wyraźne wzdraganie się przed nacjonalizmem pisarza, który najniespodziewaniej dla samego siebie znalazł się w obozie konserwatywnym.

Trudno też zgodzić się na twierdzenie autora, że nacjonalizm Brzozowskiego jest wynikiem godzenia wykluczających się wzajem stanowisk: socjalizmu i konkretnego realizmu. Jest on wynikiem czegoś znacznie głębszego, niż potrzeba usunięcia sprzeczności logicznych: jest z jednej strony wynikiem poszukiwania terenu niezależnego od wroga, na którym możnaby było budować przyszłą potęgę; stąd pochodzi potępienie polskiej własności, uznanie jej za pakt z rozbiorem. Stąd wyniesienie literatury na dominujące stanowisko, wezwanie do poszukiwania i wykuwania w sobie tej mocy, zdolnej dźwigać i utrzymywać państwa. Dlatego obok siebie znaleźli się polski robotnik i artysta, jako niezależni od woli wroga, nie podlegający prawu, które ich może zniszczyć.

To jest jeden z licznych punktów stycznych między Brzozowskim a nacjonalizmem[4]. Ale między nim a nacjonalistami jest jedna zasadnicza

---

[1] Patrz ciekawe rozróżnienie w artykule Kazimierza Wyki. „Pion" 1934, nr. 26.
[2] „Idee", str. 198.
[3] „Głosy wśród nocy", str. 8.
[4] Patrz: Dmowski: „Myśli nowoczesnego Polaka", str. 278.

różnica: praca tu nie jest pozostałością z poprzedniego okresu, ideą, która jako specjalnie droga pisarzowi, została przemocą wtłoczona w obcy system, lecz wynika z przezwyciężenia pewnych konsekwencyj nacjonalizmu. Nacjonalizm jest doktryną dziejowego pesymizmu, zwątpienia w każde inne prawo historji, prócz prawa pięści. Nacjonalista, który, jak Roman Dmowski stwierdza, że jedne narody pożerają inne i że tak być powinno, nie wierzy, że jeżeli się cokolwiek zmieni, to w tak dalekiej przeszłości, że może interesować jedynie jako zagadnienie teoretyczne, które nie ma wpływu na aktualne sprawy polityki narodowej. Otóż Brzozowski z tą bezwzględną religją interesu narodowego nie mógł się pogodzić, był optymistą i wierzył, że ciągła walka o byt, wzajemne pożeranie się narodów musi się skończyć. Przestrzegał przecież:

„Ustrzeżmy się stanu, gdy zdrowie innych narodów budzi już tylko uczucie nienawiści, pamiętajmy, że postępy i praca człowieka działają jak wewnętrzna mechaniczna konieczność, tylko tam, gdzie niema woli i umiejętności wewnętrznej współpracy z niemi. Człowiek może być naszym wrogiem, ale nigdy nie powinien być dla nas warunkiem istnienia". („Głosy wśród nocy").

Zwracał uwagę, że obecną chwilę, jako przełomową cechuje przedewszystkiem przetwarzanie się narodów z organizmów militarnych w samorządne organizmy pracy. Nie wyrzekał się płaszczyzny ponadnarodowego porozumienia i za tę płaszczyznę, łączącą w ludzkość poszczególne narody, uznał pracę, traktowaną metafizycznie. Dlatego u Brzozowskiego naród służy pracy, nie odwrotnie, bo przecież praca jest tem, co utrzymuje ludzkość całą wobec pozaludzkiego świata i znaczenie narodu tkwi właśnie w roli, jaką w tej walce z pozaludzkim chaosem spełnia. Suchodolski kilkakrotnie wspomina o zoologji narodowej Brzozowskiego, warto zwrócić uwagę, że jest ona zasadniczo różna od kultu siły u Dmowskiego, bowiem tam kult siły jest dążeniem do stworzenia mocy narodu, utrzymującego się przy życiu wbrew wszystkim innym narodom. U Brzozowskiego to dążenie do mocy narodu, walczącego ramię przy ramieniu z innemi o utrzymanie się ludzkości wbrew przyrodzie.

Jeszcze jedno „tragiczne" podobieństwo między Brzozowskim a nacjonalistami: wartościują oni bardzo nisko inteligencję, zarzucają jej słabość woli, niedojrzałość dziejową i równocześnie wzywają do budowania przyszłego państwa polskiego. Ponieważ zaś i u Brzozowskiego i u nacjonalistów stykamy się z potępieniem (niekonsekwentnem zresztą) inteligencji i wysunięciem chłopa i robotnika polskiego, jako rodzącego się działacza historji, wprowadzenie terminu „nacjonalizm proletarjacki" jest zbędne, nie ujmuje bowiem istotnej różnicy między nacjonalizmem Brzozowskiego a nacjonalizmem Dmowskiego, czy Popławskiego.

Słusznie zwrócił dr. Suchodolski uwagę, ale niesłusznie zrobił z tego Brzozowskiemu zarzut, że jego wyobrażenie o przyszłym ustroju społecznym jest nadzwyczaj mgliste. Przedewszystkiem niesłuszne jest, że Brzozowskiego nie interesuje państwo polskie. Chociaż tego wyrazu nie używa, zagadnienie „oczywistości fizycznej" jest dla niego ciągle aktualne, podkreśla przecież wyraźnie wszystkie spustoszenia w świadomości polskiej, wynikające z utraty niepodległości, mówi (w „Legendzie") o potędze, mającej zastąpić Polakom państwo. Posługując się wyróżnieniem, dokonanem przez p. Frydego, dwóch zasadniczych elementów w myśli Brzozowskiego: krytyki i utopji, trzeba zwrócić uwagę na eschatologiczny charakter tej

utopji. Myśl o jutrze dziejowem u Brzozowskiego jest związana z pojęciem katastrofy i przewrotów i jest ono sui generis królestwem Bożem romantyków, o którego przyjściu wróżą znaki rzeczy ostatecznych. Świat, którego „pomruk" słyszy już Brzozowski, jest poza tą granicą — na ten świat nie można pisać szczegółowego projektu reform, ten świat można przygotować i przyśpieszyć, wychowując nowego człowieka i to Brzozowski robi. W związku z tem pozostaje atmosfera mesjaniczna, wyraźna szczególnie w niektórych rozdziałach „Legendy".

Czytelnik polski jest przyzwyczajony do surowego „epickiego" objektywizmu badaczy literatury i dlatego samo zagadnienie oceny myśli pisarza z dzisiejszego stanowiska jest nowością, nad której celowością i wartością warto się zastanowić, jako problemem metodologji nauk humanistycznych. W tym wypadku to zerwanie z tradycją nie dało dobrych rezultatów. Pomijając fakt, że niektóre punkty widzenia zaznaczone są we wstępie: „wewnętrzna spoistość logiczna poglądów, słuszność obserwacyj, wniosków lub hipotez, wartość wskazań" — zostały obalone w zakończeniu (str. 274), zastanówmy się nad metodami i wynikami tej krytyki.

Zasadę autor przyjmuje taką: jako zakończenie każdego rozdziału daje krytykę poglądów Brzozowskiego, przyczem polemizuje tylko z wynikami danego okresu, przyjmując jako pewnik wyniki poprzedniego. Stąd czytelnik odnosi wrażenie, że autor monografji czyni Brzozowskiemu wszelkie możliwe ustępstwa i pomimo to wychodzi z tej polemiki zwycięsko.

Prócz tej metodyki „krytyki", poważne zastrzeżenie budzi dyskwalifikowanie czy obniżanie wartości myśli Brzozowskiego na tej jedynie podstawie, że np. zajmując się walką z przyrodą, pominął sprawę organizacji współżycia między ludźmi, którą autor monografji uważa za najważniejszy problem współczesności.

Spotykamy także inne sposoby: np. (str. 21) autor rozpoczyna z Brzozowskim polemikę taką, że rzuca pod jego adresem szereg pytań, czy rzeczywiście było tak, jak on mówił. Czasami krytyka ogranicza się do stwierdzenia, że Brzozowski uważał za kulturę to, a Suchodolski co innego. Brzozowski uważał, że walka z przyrodą kształtuje moralną istotę człowieka, a Suchodolski, że wychowywać można go tylko wtedy, gdy „dopomaga się niszczyć ciemnotę i złość, wyzwalać zapał i dobro" (str. 91).

Taka krytyka, jeżeli może mieć jakąkolwiek wartość, to tylko tę, że czytelnik dowiaduje się, że można myśleć tak jak Brzozowski, można także inaczej, kto zaś ma rację niewiadomo, bo autor monografji nie dowiódł, czem koncepcja jego góruje nad myślą Brzozowskiego.

W konsekwencjach metafizyki pracy widzi Suchodolski najstraszniejszą niewolę „człowieka i kultury w służbie pracy i produkcji, niewolę, którą tylko sofistyka może przedstawić jako ideał swobody" (str. 133). Czytelnikowi, który jest świadkiem tej polemiki, nasuwa się spostrzeżenie, że zapewne obaj posługują się innemi pojęciami swobody. — Swoboda Brzozowskiego nie jest anomją, samowolą (o tej swobodzie mówi Sergjusz Hessen, jako o najstraszniejszej zależności od zewnętrznych warunków), ale posłuszeństwem własnemu, twardemu może prawu pracy. Co do praktycznych konsekwencyj tej surowej szkoły, o której mówi Suchodolski, to czy wogóle do utopji Brzozowskiego można przykładać miarę „możliwego do przyjęcia i zdrowego programu wychowania człowieka?" (str. 133). Kamieniem probierczym w ocenie Brzozowskiego jest dla Suchodolskiego

jakiś ideał myśliciela, filozofa referatowego, od którego się wymaga przedewszystkiem ścisłości i konsekwencji.

Drugim jest, bliższy zapewne autorowi niż Brzozowski, Abramowski, którego nazwisko wraca w tej książce kilkakrotnie, kiedy autor mówi o manowcach, na które zabrnęła myśl Brzozowskiego w takim związku: „Ale uniknął tego Abramowski". Resumując tę sprawę, chciałabym zaznaczyć, że tego rodzaju metody krytyki, o których mówiłam wyżej, nie wydają się wartościową i pożądaną inowacją, ocena zaś myśliciela przy tych kryterjach, pozostaje w rażącej dysproporcji z istotną jego wartością, szczególnie zaś z wyrażonym we wstępie postulatem „historycznie uwarunkowanej oceny".

Pomimo te zastrzeżenia, jakie obudziła książka, trzeba uznać ją za zjawisko dodatnie: daje próbę ujęcia twórczości Brzozowskiego, a tem samem pobudza do szukania innych dróg. Autor zdaje sobie sprawę z trudności, które nastręczają się badaczowi, wchodzącemu na ten całkowicie niezbadany teren, dlatego ogranicza, może niewłaściwie, zakres swoich badań, a także próbuje wskazać swoim kontynuatorom niewyzyskane przez siebie możliwości. Zdając sobie sprawę z fragmentaryczności swej pracy, podkreśla bogactwo dorobku myślowego Brzozowskiego, pozostającego poza jej zakresem. Zdumiewa naśladowania godna sumienność badacza, który nie poprzestając na pracach Brzozowskiego, objętych książkowemi wydaniami, sięgnął do rozrzuconych po czasopismach artykułów, a nawet rękopisów i objął w ten sposób całokształt jego twórczości. Książka przynosi (szkoda, że nie zebraną w końcu) bibljografję pism Brzozowskiego. To samo można powiedzieć o opracowaniu tła i połączeniu dorobku Brzozowskiego z dziejami myśli polskiej. Trochę tu bróździ wadliwa konstrukcja książki, polegająca na łączeniu rozdziałów poświęconych tłu z całością pracy w ten sposób: „to co głosił, nie było w Polsce absolutną nowością", — w tem ujęciu bowiem wydaje się, że Brzozowski jest jedynie kontynuatorem cudzych myśli, ginie to wszystko, co było jego myślową zdobyczą.

Pomimo wszystkie zastrzeżenia, jakie przeciw tej książce można wysunąć i jakie były wysunięte będzie się musiał z nią liczyć każdy przyszły badacz Brzozowskiego.

Szkoda więc wielka, że z jej wynikami nie chciał, czy nie mógł liczyć się autor innej książki o Brzozowskim[1]. Dowiedziałby się z niej dużo pożytecznych rzeczy, mianowicie, że „Idee" nie tworzą systemu, że są zbiorem artykułów rozrzuconych po czasopismach, dokonanym przez autora ex post, że pierwszy z nich pochodzi z r. 1903, ostatni z 1909, i że odtwarzanie światopoglądu autora na ich podstawie z pominięciem pozostałej obfitej twórczości autora jest nieco niebezpieczne. Tembardziej, że przejścia między jednem a drugiem studjum łatwo wypełnić własną, dowolną konstrukcją na miejsce rzeczywistych ewolucyj. Przedsięwzięcie: rekonstrukcja i krytyka metafizyki Brzozowskiego w tych warunkach bardzo ryzykowne. Stało się zaś wręcz niewykonalne, skoro do tego zamiaru przyplątały się inne.

Autor chciał przy jednym ogniu upiec dwa kasztany i stosował jako podstawowe kryterjum system pojęć i metod filozofji absolutnej Hoene-Wrońskiego. „Uczyniłem to — wyznaje — w pewnym sensie pro domo

---

[1] Jerzy Braun: „Metafizyka pracy i życia. Rzecz o Stanisławie Brzozowskim". Warszawa, 1934. Bibljoteka Zet.

mea, gdyż wiedząc, jak mało są znane, i fałszywie często interpretowane główne założenia doktryny mesjanicznej, chciałem zademonstrować na przykładzie stosowalność ich do całej nowoczesnej problematyki filozoficznej, z którą myśl Brzozowskiego pozostaje w związku intymnym..." Brzozowskiemu przez to żadna krzywda się nie stanie, przeciwnie jego „filozoficzne wzruszenia", przełożone na język spekulacji, uzyskają „spekulatywną klarowność, która im pozwoli zagórować nad wielu punktami widzenia filozofji i historjozofji współczesnej, uważanemi dziś za ostatnią nowość w tej dziedzinie". I w ten sposób zaczął tłumaczyć warjabilizm Brzozowskiego na język filozofji absolutnej, a Brzozowski potraktowany został jako kiepski filozof, którego system kupy się trzyma tylko dzięki temu, że jeden błąd niweluje drugi [1]. Niejasności zaś i niekonsekwencje łatwo usunąć, skoro tylko sięgniemy np. do „Propedeutyki" Hoene-Wrońskiego. W jakiejś dziwnej symbiozie pozostają te dwa systemy, wzajemnie się uzupełniając i wyjaśniając. Ciekawe tylko, czy w zrozumieniu Hoene-Wrońskiego mogą być tak samo pomocne „kreacje spekulatywne" Brzozowskiego. A powinnyby: przysługa za przysługę.

Czasem traktuje autor Brzozowskiego, jako Jana Chrzciciela filozofji absolutnej Hoene-Wrońskiego, niekiedy genjalnie antycypującego poglądy mistrza. Twórczość Brzozowskiego dzięki temu ma odegrać we współczesności decydującą rolę: oto w bitwie, która ma się rozegrać między Hoene-Wrońskim a Heglem o rząd dusz, ma przyjść w pomoc filozofja pracy St. Brzozowskiego i stać się potężnem narzędziem, któremu myśl polska zada w przyszłości doktrynie bolszewickiej cios śmiertelny (str. 15 i następne). Rzeczywiście, rola ogromna przypadła Brzozowskiemu w udziale, jak ją spełni, przyszłość pokaże.

A tymczasem autor opowiada zdumionemu czytelnikowi, jak to Brzozowski wzrósł ponad filozofję nowożytną w świat „transcendencji" (sic), jak wskazywał czytelnikowi „m o c o w ł a d n o ś c i, k t ó r e z a k ł a d a j ą a b s o l u t n y ł a d m o r a l n y w s z e c h ś w i a t a". Niekiedy nasuwa się pytanie, czy to jest naprawdę mowa o Brzozowskim? A może o jakimś innym Brzozowskim, nie autorze „Legendy"?

Książka ta jest głębokiem nieporozumieniem, sam fakt, że autor chciał systemem Hoene-Wrońskiego mierzyć wartość myśli Brzozowskiego świadczy o tem, że Brzozowski jest dla niego zupełnie obcy zarówno w zawartości myślowej swoich pism, jak ich specyficznym charakterze. Trudno sobie wytłumaczyć skąd powstało to połączenie, gmatwające w sposób okropny dorobek myślowy obydwu. Ale jeszcze trudniej odpowiedzieć na pytanie komu i na co taka gmatwanina może być potrzebna. Język, pomijając już terminy „absolutnej filozofji" Hoene-Wrońskiego, pełen dziwactw i nowotworów, czyni tę książkę trudną do przebrnięcia.

Warszawa. *Janina Kulczycka.*

---

[1] Np. str. 36 „tak więc niekonsekwencja systemologiczna wyrównuje tu sama błąd ontologiczny Brzozowskiego".

KONSTRUKCJA I OCENA

DYSKUSJA O BRZOZOWSKIM

Książka moja o Brzozowskim wywołała różne zastrzeżenia. Na pierwsze głosy krytyczne odpowiedziałem już dawniej [1]. Później, pochłonięty innemi pracami, nie miałem możności przedyskutowania nowych zarzutów, niekiedy tak wnikliwych i pobudzających do dyskusji jak te, które mi stawiał p. L. Fryde w „Drodze". Ponieważ obecnie artykuł p. Janiny Kulczyckiej uczynił rzecz znowu aktualną, przypominając ją opinji naukowej oraz wiążąc z ogólniejszemi zagadnieniami metody badań, korzystam ze sposobności, by poruszyć kilka zagadnień, interesujących zarówno ze względu na ujęcie myśli Brzozowskiego, jak również i ze względu na metodologję nauk humanistycznych wogóle.

Pierwszą kwestją jest zagadnienie typu monografji. Prof. Kridl, p. Fryde i p. Kulczycka zgodni są w tem oskarżeniu, iż w książce mojej daję tylko pewien, fragmentaryczny i jednostronny obraz Brzozowskiego. Podstawą tych zarzutów jest przekonanie, iż monografja powinna „objąć wszystko". Taki ideał pracy, rozpowszechniony w naszej opinji naukowo-literackiej, jest, według mego przekonania, fałszywy i szkodliwy. Wiele studjów literackich ucierpiało z powodu tej ambicji „dawania wszystkiego". Wszelka bowiem praca badawcza wymaga stawiania pytań i szukania odpowiedzi. Aby stawiać pytania trzeba widzieć określone problemy, a zatem mieć punkt widzenia. Otóż niema punktu widzenia, pozwalającego oglądać rzecz ze wszystkich stron naraz i we wszelkich związkach. Selekcja i konstrukcja są koniecznemi podstawami wszelkiej pracy naukowej. Również i w humanistyce. Łączenie w jednem studjum różnych zagadnień i różnych metod jest niewłaściwe. Jedynie w rzadkich wypadkach syntez, będących owocem zarówno wielkiego talentu badacza, jak i długotrwałych studjów wielu uczonych, można obejmować całość. W badawczych pracach analitycznych trzeba jasno stawiać zadania i jasno widzieć możliwości realizacyjne. Gdybym chciał zaspokoić życzenia moich krytyków powinienbym był w swej książce: 1. dać charakterystykę osobowości Brzozowskiego, 2. przeprowadzić analizę jego typu umysłowego, 3. przedstawić stosunek do lektury zagranicznej, 4. określić znaczenie i wpływ jego myśli na społeczeństwo polskie, 5. uwzględnić i ocenić to wszystko, co o Brzozowskim dotychczas pisano. Te wymagania, upoważniające do stosowania wszelkich punktów widzenia razem, wszelkich metod (psychologicznych, socjologicznych, filologicznych, filozoficznych i t. p.) jednocześnie, do pytania odrazu o wszystko i do szukania wszelkich odpowiedzi, te wymagania są całkowicie sprzeczne z duchem rzetelnego i ostrożnego badania naukowego, z zasadą podzielności pracy naukowej. Dlatego też, rozpoczynając studja nad Brzozowskim, starałem się przedewszystkiem określić zadania, by nie „opracowywać" wszystkiego odrazu. W przedmowie do książki sformułowałem jasno, co chciałem w niej osiągnąć, a czego nie zamierzałem.

Drugą sprawą jest ustosunkowanie się do tego obrazu myśli Brzozowskiego, jaki dałem w mej książce. Prof. Kridl, p. L. Fryde i p. Kulczycka

---

[1] Jak ujmować i oceniać myśl Brzozowskiego. Pion 10. II. 1934.

znowu są zgodni w przekonaniu, iż studjum moje stwarza zupełnie fałszywy, bo intelektualistyczny mit o Brzozowskim, że go traktuje jako „referatowego filozofa", że wypacza istotne motywy jego myślenia, traktując go jako myśliciela sztukującego z różnych światopoglądów swój własny „system". Zarzuty te w znacznej mierze wynikają z nieumiejętności pogodzenia się z ograniczonym charakterem książki, z chęci odnajdywania w niej za wszelką cenę i wbrew intencjom autora „całego" Brzozowskiego. Studjum moje miało dać obraz ideologji Brzozowskiego, nie analizę jego myślenia. Rzeczywistością były zatem dla mnie jego sądy i jego argumenty, nie jego przeżycia, pobudki, namiętności. Dlatego też nie starałem się nigdzie wyjaśniać „dlaczego" tak lub inaczej myślał, ale dążyłem do charakterystyki tego, co myślał. Było to zresztą wyraźnie powiedziane w przedmowie i dlatego wszystkie zarzuty, iż nie wyjaśniłem tej lub innej ewolucji pisarza rozmijają się z zadaniami mej pracy. Poglądy Brzozowskiego są w mej książce wprawdzie ułożone według pewnych „zasad porządkujących", jak to stwierdza p. Fryde, ale zasad tych nie uważałem nigdy za czynniki kierujące myśleniem Brzozowskiego, jak mi to sugeruje. Chronologiczno-logiczna systematyka czyichś poglądów nie jest zgoła identyczna z psychologiczno-dynamiczną analizą motywów myślenia i wolno ją przeprowadzać zupełnie niezależnie[1]. I tak jak estetyczna analiza dzieła sztuki, podająca charakterystykę dzieła, nie stwarza wcale uprawnienia do przypuszczeń, iż według tych samych kategoryj estetycznych powstawało dzieło, jako proces twórczy, podobnie analiza sądów i argumentów, wyrażonych w pismach nie mówi nam nic o wewnętrznej rzeczywistości psychicznej, z której myśli te powstawały, ani też nie przesądza doniosłości sprawczej lub kolejności występowania motywów[2].

Powstawałoby jeszcze pytanie czy same poglądy Brzozowskiego mogą być ujmowane intelektualistycznie. Krytycy moi mówią najchętniej o tonie, dynamice, lirycznym charakterze myśli, wzruszeniach filozoficznych i t. p. Powołują się też na słowa samego Brzozowskiego, mające przekonać, iż on sam pojmował myśl swą w taki sposób. Ale jeśli mój punkt widzenia jest fałszywym, intelektualistycznym mitem, to podobnie jednostronnym i fałszywym jest ten nowy „liryczny" mit. Wiemy przecież wszyscy jaki stosunek miał Brzozowski do tego wszystkiego, co jest impresjonizmem myślowym, nastrojowo-lirycznem rozmyślaniem. Wiemy, jak surowo oceniał wysiłki intelektualne, jak wymagał od nich sprawności i odpowiedzialności, jak cenił — mimo wszystko — rozumową rzetelność myślenia. Jeśli zatem p. Kulczycka wypomina mi, iż zająłem wobec dzieł Brzozowskiego postawę intelektualistyczną, przed którą on sam najgoręcej się bronił, a następnie charakteryzuje uczuciowy nastrój myśli Brzozowskiego i, posługując się rozróżnieniem p. Frydego, widzi w niej silne pierwiastki utopij, to stwarza również mit, przed którym broniłby się autor „Legendy" najgoręcej, gdyż nigdy swej myśli nie traktował jako utopji. Dlatego też ten

[1] Bliższe określenia w moim artykule w „Pionie".

[2] P. Fryde szkicuje w swej recenzji obraz ewolucji myśli Brzozowskiego, traktując ją jako emanację osobowości, jako wyraz, niezaspokojonej żadnym dorobkiem intelektualnym, psychiki. Powoli, etapami, odnajdował Brzozowski w sobie samym coraz to nowe treści myślowe. Te rozważania umacniają mnie w przekonaniu, iż naukowo, psychologicznie proces ten nie może być jeszcze ujęty i że takie wyjaśnianie ewolucji jest powoływaniem się na nierozjaśnioną tajemnicę dynamiki osobowości. Jest to słuszne, że Brzozowski (może wogóle każdy) snuł z siebie swą myśl, ale to „z siebie" jest zagadką.

obraz myśli Brzozowskiego, który chcieliby dać pp. Fryde i Kulczycka jest, równie jak mój, jednostronnem spojrzeniem, a nie jedyną prawdą. Znacznie ostrożniej formułuje swe zarzuty prof. Kridl. Powiada mianowicie, iż humanizm, socjalizm, nacjonalizm, katolicyzm Brzozowskiego mają specyficzny „ton", którego nie umiem uchwycić. Ponieważ jednak nie tłumaczy (z wyjątkiem zagadnienia pracy, o czem niżej) na czem ten ton polega, przeto zarzut, choć bardzo poważny, nie jest zgoła uzasadniony. Rzecz znamienna, iż właśnie te moje analizy, które zmierzają do wykazania odrębności socjalizmu i nacjonalizmu Brzozowskiego od prądów, określanych temi nazwami, znajdują całkowite uznanie w oczach p. Frydego.

Dalsza sprawa dotyczy oceny myśli Brzozowskiego. Krytycy moi, nie zaprzeczając zasadniczo prawa badaczy do wydawania ocen, starają się przekonać, iż moja ocena jest formalnie i merytorycznie fałszywą. Kwestja ta ma znaczenie ogólniejsze, jak zauważyła bowiem p. Kulczycka w naszych studjach naukowych przeważa „epicki objektywizm" i wprowadzenie momentu oceny jest potrosze nowością.

Przedewszystkiem stwierdzić trzeba, iż pewna ocena, choćby nawet nie była formułowana, tkwi w każdej pracy. Przejawia się ona w fakcie selekcji i konstrukcji materjału. Powtóre, ocena jest często warunkiem rozumienia. Nie mogę zgodzić się z p. Kridlem, który zarzuca mi zbyt pośpieszne wydawanie oceny, tłumacząc, iż możliwą jest ona dopiero na podstawie gruntownych prac przygotowawczych. Oczywiście, oceniać czyjąś myśl można wówczas dopiero, gdy się ją zbada i zrozumie, ale równie słuszną jest teza, iż wtedy tylko *rozumie się czyjąś myśl, gdy się ją ocenia.* Ocena nie jest czemś, co może być lub może nie być dodane do rozumienia, jest jego elementem. Dlatego analiza i ocena mogą i powinny się przeplatać na każdym stopniu.

P. Fryde oskarża mnie o to, iż nie wydaję ocen naukowych. Cóż jednak należy rozumieć przez wyrażenie „ocena naukowa"? Oczywiście nie jej objektywizm, pojmowany jako wspólne wszystkim ludziom przekonanie. Takich ocen niema. Ocena jest zawsze czemś podmiotowem. Dlatego niektórzy teoretycy nauki przekonywają, iż oceny nie należą wogóle do nauki. Ten rygoryzm nie wydaje mi się zupełnie słuszny. Charakter naukowy oceny widziałbym jednak nietyle w treści ocen, ile w ich formie. Ocena naukowa powinna być sformułowana, jak wszelkie sądy naukowe, jasno i jednoznacznie, powinna być dostatecznie umotywowana, nie powinna być wynikiem uprzedzenia, opinji powziętej zgóry. Dlatego całkowite niezrozumienie istoty oceny naukowej przejawia się — według mego zdania — w postawionym mi przez p. Kulczycką zarzucie, iż „zamknięcie stanowi przekreślenie tego, co było trudem całej książki, stwierdzeniem, iż nie w tem czem się autor zajmował tkwi istotna wartość publicystycznego dorobku Brzozowskiego". Rozpoczynając bowiem badanie nie miałem gotowej *tej* oceny, do której doszedłem. Rozpoczynając studja widziałem wartość Brzozowskiego w tem, w czem się ją widzi zazwyczaj: w krytyce świadomości i w kulcie pracy. W toku analiz przekonałem się, że teorje te nie są słuszne i że nie powinny wyznaczać ideałów postępowania. Ten negatywny wynik oceny jest też wynikiem i stanowi właśnie wyraz nieuprzedzonej pracy myślowej.

Wreszcie ostatnia sprawa metod oceny. Prof. Kridl i p. Kulczycka zgadzają się, iż ocena pisarza polega na określeniu jego historycznego

znaczenia, jego roli, jego wpływu. Taki punkt widzenia nie jest jednak właściwie oceną, jest kroniką. Ocena zaczyna się tam, gdzie wchodzi w grę żywy człowiek dzisiejszy. Ocena jest ustosunkowywaniem do teraźniejszości. Moje wyrażenie, użyte w przedmowie, o historycznie uwarunkowanej ocenie ma oczywiście, jak to z całej książki wynika, ten sens. Każda epoka historyczna szuka własnego stosunku do żywej tradycji. Dlatego oceniać Brzozowskiego nie znaczy to odpowiadać na pytanie: kim był i co zdziałał? Znaczy to odpowiadać na pytanie: kim jest dziś? Ale tak stawiana sprawa oceny przestaje być, gdy chodzi o Brzozowskiego, kwestją historyczno-literacką, staje się zagadnieniem społeczno-kulturalnem i rozwiązywana być może tylko na gruncie metod i studjów z tej dziedziny. Może dlatego też tak trudno porozumieć się w sprawie oceny Brzozowskiego z literatami.

Jeśli bowiem przejdę skolei do merytorycznych zagadnień oceny myśli Brzozowskiego to stwierdzić mi wypada, iż żaden z moich krytyków nie podjął dyskusji zasadniczej z głównym tokiem mej krytyki t. zn. z krytyką filozofji świadomości u Brzozowskiego. Poruszono tylko pewne fragmenty. Najbardziej lekceważąco i ogólnikowo postąpił prof. Kridl, wygłaszając dwukrotnie (w Wiadomościach Literackich i w Roczniku Literackim 1933, s. 289 n.) zupełnie gołosłowy wyrok, iż krytyka moja „nie została rozwinięta i uzasadniona”. W rzeczywistości zaś poświęciłem sprawie krytyki Brzozowskiego bardzo wiele miejsca w mej książce i usiłowałem ją oprzeć nietylko na długich rozmyślaniach i badaniach własnych, ale również ugruntować i rozwinąć na pewnych podstawach powszechniejszych, a mianowicie na zasadach współczesnego humanizmu t. j. światopoglądu, który posiada dziś już wielką literaturę naukową i który, szczególnie w pismach I. Babbitta i H. De Mana, stanowi, w mojem mniemaniu, najoryginalniejszy i najtrwalszy dorobek umysłowy naszej epoki. Cała ta problematyka społeczno-kulturalna jest też równie obca p. Kulczyckiej, która stawia wiele drobnych zastrzeżeń pomijając główny tok mej krytyki.

Jedynie zagadnienie pracy zainteresowało cokolwiek głębiej moich krytyków. Prof. Kridl sądzi wszakże, iż moje argumenty w tej sprawie trafiają „przeważnie albo tylko w pewne szczegóły teorji Brzozowskiego, albo zgoła w próżnię, gdy całą tę metafizykę sprowadzają na poziom zagadnień ekonomiczno-utylitarnych”. Różnica między nami polega na interpretacji idei pracy u Brzozowskiego. Prof. Kridl już raz, przed laty, w polemice z Z. L. Zaleskim[1], dał wyraz swemu odczuciu tej teorji. Pisząc książkę o Brzozowskim zastanawiałem się czy ta „duchowa” interpretacja pojęcia pracy, jaką daje prof. Kridl jest słuszna. Na podstawie ścisłego przestrzegania chronologji oraz na podstawie wielu ważnych, choć drobnych i dość trudno dostępnych artykułów Brzozowskiego scharakteryzowałem jego stanowisko w tych czasach, w których wytwarzał on swą filozofję

[1] Por. Krytyka i krytycy. Warszawa 1923, str. 80—91. Przy tej sposobności bibljograficznej pragnę odpowiedzieć na zarzut prof. Kridla postawiony mi dwukrotnie, iż nie wszystkie studja o Brzozowskiem uwzględniłem, pomijając wiele ważnych rozpraw. Mogę zapewnić p. Kridla, iż znam nietylko studja wyliczone przez niego w recenzji, ale również i wszelkie inne. Nie sądzę wszakże, by trzeba wszystko, co się przeczytało „uwzględniać” w tekście książki. Ale dlatego nie należało na podstawie zasady: „czego autor nie podał w przypisku o tem nie wie” stawiać zarzutów i tak poważnych i tak krzywdzących, jak ten, że się nie zna stanu badań naukowych z zakresu tematu opracowywanego.

pracy, w obrazie, jak sądzę, zupełnie wiernym. Przypuszczałem, iż prof. Kridl zechce poddać rewizji swe dawniejsze zapatrywania, wynikające ze zbyt dowolnego wysłuchiwania „tonu" pism Brzozowskiego oraz z przenoszenia na czasy wcześniejsze pewnych jego pojęć, osiągniętych później. Zamiast jednak argumentów otrzymałem jedynie napomnienie, iż zbyt pedantycznie interpretuję tekst Brzozowskiego.

Zagadnienie pracy porusza też p. Fryde, sądząc, iż przykrem nieporozumieniem jest wskazywanie na duchowy związek Brzozowskiego z cywilizacją przemysłowo-kapitalistyczną. Nie jest to jednak nieporozumienie. Kilkoletnie studja nad zagadnieniem historycznej genezy kultu pracy (których wyniki będę miał sposobność gdzieindziej przedstawić) przekonały mnie o tem, iż entuzjazm pracy i wszelkie „filozofje pracy" są produktem duchowym kapitalistyczno-przemysłowym, tak jak to już dawno trafnie odczuwał Abramowski. Socjalizm, przejmujący z tego środowiska kult pracy ulega adaptacji burżuazyjnej, co ostatnio wykazał bardzo subtelnie de Man oraz, na innych drogach, L. Mumford i Znaniecki.

Do sprawy pracy nawiązuje również p. Kulczycka, atakując moje oskarżenie filozofji pracy o niewolenie człowieka. W oparciu o Hessena, wskazuje recenzentka, iż Brzozowski miał głębsze i lepsze, niż moje, pojęcie swobody. Ale właśnie opieka jest źle wybrana: Hessen, jak to wyraźnie widać w „Podstawach pedagogiki", jest bardzo surowym krytykiem „pracy" i zgoła nie widzi w tej doktrynie rękojmi realizacji swobody ludzkiej. Czy zaś skutecznie broni się Brzozowskiego traktowaniem jego myśli jako utopij, których nie należy mierzyć realną miarą, o tem trzeba poważnie wątpić.

Warszawa. *Bogdan Suchodolski.*

M A T E R J A Ł Y

LIST KORNELA UJEJSKIEGO DO POSŁA LIPCZYŃSKIEGO

Wśród papierów, pozostałych po Kazimierzu Chłędowskim, znajduje się charakterystyczny list Kornela Ujejskiego, który przedrukowuję in extenso, korzystając z łaskawej uprzejmości obecnego posiadacza części puścizny po historyku, p. magistra Z. Niesiołowskiego z Kielc. List brzmi, jak następuje.

Pawłów, d. 14 grudnia 1866 r.

Szanowny, drogi Panie!

Jestem o dziesięć mil od Lwowa; dziś dopiero otrzymałem gazetę poniedziałkową — wyczytałem w niej Twoją poprawkę, uczynioną w Izbie do adresu i — chociaż strudzony kłopotami gospodarskiemi, nie mógłbym zasnąć, gdybym temi kilkoma słowami nie wyraził Ci moją cześć, moje uwielbienie. Wiem, że Twoje przemówienie było krokiem „niepolitycznym" — ale Ty jeden, Szanowny Panie, miałeś odwagę popełnić go, ty jeden w imieniu Polski powiedziałeś słowo szczere, słowo, wyryte w sercach tysiąców, słowo, które (chciałbym mieć tę wiarę) drżało może na ustach niejednego z Twoich kolegów. Niechże Cię za to uściskam ze łzami w oczach — ja syn i śpiewak nieszczęśliwej ojczyzny, dziś cierpiący w milczeniu.

Słowo Twoje przebrzmiało śród niecierpliwości a nawet wesołości (!) słuchaczów — ledwie je raczyła zanotować Gazeta, która wbrew swojemu szyldowi okpiwa naród — ale to słowo przechowa się w dziejach nieszczęśliwej, pokutującej Polski, znajdzie ono swoje

miejsce obok protestacji Rejtana, ucieszą się niem duchy przodków naszych, odżyje to słowo i uzupełni się czynami dorastającego pokolenia. Jeden tylko poseł poparł Cię!

Niech to Ciebie nie napawa goryczą. Z osamotnionych rozpładzają się miljony. W świecie ducha formułki matematycznym okazują się fałszem. Jeden a jeden to nie dwa, to nie dwóch ludzi — to Polska!

Za tydzień dopiero wrócę do Lwowa — może Cię już nie zastanę. Odjeżdżającemu na wilję w swój dom rodzinny, przesyłam Ci, drogi Panie, tych kilka słów zamiast opłatka. Zlani w jednem uczuciu, spożyjmy tę komunję w miłości dla siebie — więc kochaj mnie tak, jak ja Ciebie kocham.

Kornel Ujejski.

P. Ignacemu Lipczyńskiemu Posłowi
we Lwowie.

Gazeta, która „wbrew swojemu szyldowi okpiwa naród", to lwowska „Gazeta Narodowa"; w jej numerze 283 z 8 grudnia 1866 r. znajdujemy relację z 12 posiedzenia sejmu galicyjskiego, na którem zaakceptowano tekst adresu sejmowego do cesarza Austrji, opracowanego przez Wydział Krajowy z marszałkiem Leonem Sapiehą i referentem Maurycym Kraińskim na czele. Sam adres (którego projekt „Gazeta Narodowa" wydrukowała in extenso w nr. 281) miał być odpowiedzią na pismo odręczne cesarza z d. 13 października, stwierdzające „wierność i poświęcenie ludów swoich w czasie wojny dla obrony słusznych praw Austrji". (Mowa o wojnie austro-pruskiej w r. 1866, po której zmiażdżona Austrja musiała zrezygnować z centralistycznych rządów — między innemi i w stosunku do Galicji). Inkryminowany przez Ujejskiego adres sejmu galicyjskiego do cesarza chętnie poświadcza ofiarę krwi, złożoną przez Polaków galicyjskich w wojnie 1866 r., a w zbawiennej drodze konstytucyjnej, na którą wchodzi Austrja, widzi dla niej gwarancję przyszłej „siły i potęgi". Adres idzie dalej. Oto Polacy galicyjscy przekazują Austrji spadek dziejowy po Polsce, która przez całe wieki była przedstawicielką cywilizacji zachodniej, chrześcijańskiej. Czynią to w następujących słowach, które zyskały sobie historyczną sławę: „Było posłannictwo też takie udziałem naszym przez długie wieki. Bez obawy więc odstępstwa od myśli naszej narodowej, z wiarą w posłannictwo Austrji i z ufnością w stanowczość zmian, które Twoje Monarsze słowo jako niezmienny zamiar wyrzekło, z głębi serc naszych oświadczamy, że przy Tobie Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy". Jest to właśnie ten słynny 9 ustęp adresu, którego zmiany domagał się poseł Lipczyński.

Sprawozdanie sejmowe, zawarte w nr. 283 „Gazety Narodowej", potwierdza całkowicie szczegóły rzeczowe, wspomniane przez Ujejskiego w liście powyższym. Początek mowy Lipczyńskiego, który się sarkastycznie zestawia ze „znakomitymi" przedmówcami Rodakowskim i Borkowskim (przemawiali za przyjęciem adresu w brzmieniu projektu Wydziału), przyjęto „szmerem w Izbie i niecierpliwością". „Wesołością" wręcz pokryto „małą poprawkę językową" Lipczyńskiego, aby „na początek ustępu położyć „I", słówko „też" po słowie „posłannictwo" opuścić, na końcu zaś tego ustępu, gdzie powiedziano: „przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy", aby wykreślono wyrazy: „i stać chcemy". Lipczyński, który dla poparcia swego wniosku potrzebował 15 głosów, zyskał tylko jednego sprzymierzeńca, którego nazwiska „Gazeta" nie wymienia (ktoś jeszcze"). Po odrzuceniu wniosku Lipczyński utrzymał się w charakterze: oświadczywszy głośno, że spodziewał się takiego w sejmie przyjęcia, wyszedł z ławy poselskiej i opuścił salę posiedzeń sejmowych. To był właśnie rejtanowski jego gest, który mu zyskał poklask i serce poety.

Wystąpienie Ujejskiego w liście do Lipczyńskiego nie jest żadną wcale niespodzianką u tego poety. Wiernopoddańczy hołd, złożony przez sejm lwowski cesarzowi austrjackiemu, musiał być wstrętny dla Ujejskiego, który w całej swej dotychczasowej twórczości aż nadto wyraźnie określił swe stanowisko wobec roli Austrji w stosunku do Polaków oraz wobec wszelkich prób polskiej polityki ugodowej na terenie Galicji. Świadectwem najdobitniejszem — „Skargi Jeremiego", potępienie ohydy rzezi galicyjskiej, jako czynu politycznego Austrji.

Niedługo wypadło Ujejskiemu prywatne swe zdanie o ugodowcach galicyjskich, skreślone w liście do Lipczyńskiego, wyrazić publicznie w mowie poetyckiej.

Myślę, że wiersz XVI z drugiej części „Skarg Jeremiego", jest bezpośredniem echem wystąpienia adresowego sejmu galicyjskiego („Wybór poezyj", wydanie Bibljoteki Narodowej, № 37, str. 66—67). Ujejski piętnuje w nim tego, „kto przyszłe swe losy w obce ręce składa", zastrzega się, że „krew nasza do Polski należy" i kończy parafrazą konkluzji adresowej:

Przy Tobie, Polsko, stoimy
I przy Tobie stać będziemy
Ad finem mundi.

Widać, że Ujejski nie w zupełnej zgodzie pozostaje z własną skargą z listu do Lipczyńskiego, jakoby był tylko „śpiewakiem nieszczęśliwej ojczyzny, „dziś cierpiącym w milczeniu". Potrafił przemówić dobitnie i boleśnie.

Jeszcze jedna uwaga. List powyższy Ujejskiego jest pięknem potwierdzeniem szczerze romantycznej ideologji tego „epigona" romantyzmu. Pominę już atmosferę uczuciową listu, jego niemal entuzjastyczny diapazon. Czyż ustęp z listu „jeden a jeden to nie dwa, to nie dwóch ludzi — to Polska" nie jest powtórzeniem mickiewiczowskiego „jedność większa od dwóch" z „Pieśni Filaretów"?

Nieznany dotychczas powyższy list Ujejskiego nie będzie bez znaczenia dla pogłębienia wiedzy naszej o tym zbyt zapomnianym dzisiaj poecie.

Warszawa. *Juljusz Nowak.*

R E C E N Z J E

»ZABAWY PRZYIEMNE Y POŻYTECZNE«

TUROWSKA - BAROWA IRENA ZOFJA Zabawy Przyiemne y Pożyteczne. (1770—1777). Prace historyczno-literackie, nr. 40. Kraków 1933, str. VI+81.

Czasopiśmiennictwo polskie stanowi niewątpliwie jedną z najmniej zbadanych dziedzin historji literatury w Polsce. Dodziśdnia nie mamy żadnego syntetycznego opracowania źródeł, genezy, pierwszych lat istnienia i dalszego rozwoju polskich czasopism. Prace Kucharzewskiego („Czasopiśmiennictwo polskie w. XIX", Warszawa 1911), Ciechowskiego („Czasopisma polskie na Litwie", „Kwartalnik Litewski" 1910 i odb.) i in. nie spełniają tej roli, gdyż ograniczają badany materjał bądźto ramami czasowemi, bądź też granicami przestrzennemi. Kto wie również, czy lukę tę dałoby się zapełnić zapomocą monograficznych studjów, poświęconych charakterystyce zawartości poszczególnych pism, gdyż badania takie, aby mogły stać się użytecznemi przyszłemu historykowi czasopiśmiennictwa, musiałyby być tak przeprowadzone, aby w ostatecznym rezultacie przynosiły również wyjaśnienie historycznej roli danego pisma w rozwoju kultury i literatury polskiej. Nie byłyby to zatem właściwe badania literackie, ale studja historyczno- literackie, które jednak w ostatecznych wnioskach mogłyby rzucić cenne światło na wyjaśnienie tego, czy innego zjawiska z dziedziny literatury.

Inaczej jest jednak z rozprawą p. Ireny Zofji Turowskiej - Barowej o „Zabawach Przyiemnych y Pożytecznych", autorka bowiem wyszła tu z zupełnie innego założenia. Całą swą książkę podzieliła na trzy rozdziały. W pierwszym z nich omawia umysłowe i kulturalne tło epoki, charakteryzuje czasopiśmiennictwo zagranicą i w kraju, opowiada o założeniu i rozwoju „Zabaw", o ich redaktorach, współpracownikach, programie i ogólnej zawartości — i wreszcie rozstrzyga kwestję wzorów pisma i źródeł jego artykułów. W drugim, najdłuższym rozdziale książki (zajmującym przeszło połowę wszystkich rozważań), po scharakteryzowaniu teoretycznych i estetycznych artykułów „Zabaw", rozpatruje autorka ich poetyckie utwory, omawiając kolejno ody, panegiryki, sielanki, satyry, bajki, utwory refleksyjne i lirykę właściwą. W trzecim zaś rozdziale, poświęconym prozie, charakteryzuje rozprawki filozoficzne i obyczajowe, artykuły przyrodnicze, historyczne, pedagogiczne i t. p., kończąc całą książkę krótkiemi uwagami o upadku „Zabaw" i wskrzeszeniu ich w w. XIX, oraz o ogólnem znaczeniu ich w rozwoju literatury polskiej w. XVIII.

Jakby więc można sądzić z wyżej przedstawionej zawartości książki, oraz podtytułu: „Ze studjów nad literaturą stanisławowską" — chodziło tu autorce o scharakteryzowanie treściowej zawartości „Zabaw", jako jednego ze zjawisk literatury polskiej w drugiej połowie XVIII w. Stanowisko to — teoretycznie słuszne — w praktyce jednak nie dało poważniejszych, pozytywnych rezultatów: takie bowiem szczegółowe uwagi o pewnych rodzajach utworów poetyckich, lub o poszczególnych wierszach i rozprawach, zamieszczonych na łamach „Zabaw" bez jakiegoś ogólniejszego, syntetycznego ujęcia ich we wnioski, odnoszą-

ce się do historyczno-kulturalnej roli pisma, z jednej strony nie mogły przynieść dostatecznej, wyczerpującej charakterystyki „Zabaw" — z drugiej zaś nie mogły wnieść ani nowych, cennych zdobyczy w zakres naszej wiedzy o literaturze okresu stanisławowskiego, ani też rzucić jakieś nowe światło na zjawiska literackie, opracowane poprzednio — i to już nietyle z winy autorki, ile raczej z powodu charakteru utworów, zamieszczonych w „Zabawach". Zbyt wąskie ramy badanego materjału, ograniczonego jedynie do kilkunastu tomów pisma, nie mogły pozwolić na bardziej wszechstronną analizę czyto twórczości poszczególnych pisarzy, związanych z „Zabawami", czy też wogóle ówczesnych prądów literackich, a wszystko, cokolwiek bardziej cennego i godnego uwagi zamieszczono na łamach „Zabaw" (bajki Trembeckiego, satyry Naruszewicza i. t. d.), zostało już dawno zbadane i przeanalizowane w związku z twórczością każdego z tych pisarzy. Wprawdzie możnaby do tych badań niejedno jeszcze dorzucić, lub oświetlić z innego punktu widzenia, niemniej jednak we wnioskach takich należałoby wyjść poza materjał, zamieszczony na łamach „Zabaw". Zawiodła tu nawet „ostatnia deska ratunku", zwykła w pracach tego rodzaju, a mianowicie próba odgadnięcia autorstwa artykułów anonimowych, lub podpisanych kryptonimami, gdyż większość prac, zamieszczonych w „Zabawach", nie nastręcza pod tym względem żadnych wątpliwości. Zresztą autorka nawet w stosunku do tych nielicznych, niepodpisanych artykułów nie pokusiła się o dokładniejsze wskazanie autora prócz stwierdzenia, iż zostały napisane przez „nieznanego bliżej" poetę. (Szkoda jednak, że nie uczyniono tego w stosunku do autora wiersza „Do przyjaciela", protestującego przeciwko sentymentalizmowi i fałszywym wyobrażeniom o wsi — str. 45).

I nie z winy badań autorki, która bardzo sumiennie zebrała i zręcznie omówiła cały materjał — ale z błędnego, metodologicznego założenia jej rozprawy i z charakteru samej zawartości „Zabaw" wynikły takie usterki pracy p. Barowej, jak np. to, że charakterystyka bajek Naruszewicza, lub Trembeckiego (str. 52—53) w niczem niemal nie wybiega poza wiadomości, podawane przez każdą prawie historję literatury, lub, że zbadanie okolicznościowych wierszy „Zabaw" pomnożyło jedynie liczbę przykładów na dawno stwierdzony i nie ulegający wątpliwości panegiryzm ówczesnej poezji zwłaszcza w stosunku do króla Stanisława Augusta. Możnaby jednak zgłosić pod adresem autorki pretensję o nader pobieżne, banalne i nie wyczerpujące potraktowanie zagadnień, poruszonych w pierwszym rodziale książki (tło obyczajowo-kulturalne, charakterystyka roli redaktorów i współpracowników pisma, oraz stosunek jego do czasopiśmiennictwa obcego i polskiego), tak samo, jak możnaby się też dopominać o nieco głębszą syntezę znaczenia „Zabaw" dla rozwoju literatury, niż to, które dała nam autorka w pobieżnych uwagach na połowie ostatniej stroniczki książki.

Ale i te usterki wynikły zapewne ze stanowiska autorki, scharakteryzowanego już powyżej. Rozpatrując jednak książkę p. Barowej i z tego — opisowego jej charakteru, należałoby się upomnieć o niejedno uzupełnienie. Tak np. ciekawe byłoby dokładniejsze (niekoniecznie wpływologiczne!) zestawienie „Zabaw" ze współczesnemi pismami literackiemi na Zachodzie i w krajach słowiańskich. Kto wie również, czy do pewnych konkretnych wniosków nie doprowadziłoby statystyczne, procentowe zestawienie stosunku poezji do prozy w poszczególnych tomach „Zabaw"; na pierwszy rzut oka zastanawia przewaga (czy istotna?) poezji w t. VIII i następnych; czyżby to był wpływ redaktora? Należałoby również szerzej nieco wyjaśnić stosunek „Zabaw" do zagadnień szczególnie frapujących wówczas społeczeństwo polskie, spojrzeć na nie nietylko od strony tego, co się znajduje na łamach pisma — jak to uczyniła autorka — ale też zbadać, czy czasem w zawartości jego nie brakuje jakiejkolwiek z tych spraw, których mógł się ówczesny czytelnik od pisma takiego jak „Zabawy" spodziewać. Stwierdzenie istnienia, lub nieistnienia takich „braków" miałoby przecie dla charakterystyki pisma znaczenie bynajmniej niedrugorzędne.

Resumując powyższe uwagi, należy stwierdzić, iż — poza zręcznem ugrupowaniem i porządnem wyłożeniem treściowej zawartości „Zabaw" — praca p. Barowej nie wnosi wiele nowego do naszej dotychczasowej wiedzy o literaturze czasów stanisławowskich, ułatwiając jedynie przyszłym badaczom zorjentowanie się w materjale szesnastu tomów jednego z najważniejszych pism tego okresu.

Wilno. *Czesław Zgorzelski.*

RZECZ O SATYRZE SEJMU CZTEROLETNIEGO

NOWAK JULJUSZ. Satyra polityczna sejmu czteroletniego. Kraków 1933 r. Prace historyczno-literackie № 41, str. VII+233.

Literaturę można badać z rozmaitych punktów widzenia, przytem na wybór od-

powiedniej metody wpływa, prócz skłonności intelektualnych badacza, również temat, wymagający takiego, a nie innego podejścia do omawianych zagadnień. Dla tematu, opracowanego z dużym nakładem pracy i sumienności przez Juljusza Nowaka w książce p. t. „Satyra polityczna sejmu czteroletniego" najwłaściwszą wydaje się być metoda, stosowana przez historyków kultury; nie znaczy to jednak, aby nie można tu było zastosować metody estetycznej, a nawet połączenia obu tych metod, — unikając oczywiście ich pomieszania — i zbadać satyrę sejmu czteroletniego zarówno pod względem jej znaczenia historyczno - kulturalnego, jak i artystycznego.

Którąż z tych dróg obrał sobie autor omawianej pracy? Odpowiedzi na to — wstęp, zawierający najczęściej postawienie tezy i credo metodyczne autora, w danym wypadku nie daje. Wstęp w tej książce nie jest właściwie wstępem, w normalnem tego słowa znaczeniu. Nie wprowadza on w tok pracy, nie stawia założeń, nie wyjaśnia stanowiska autora; jest to krótki rozdziałek, należący już raczej do rozwinięcia i nie różniący się pod względem ujęcia zawartego w nim materjału od rozdziałów następnych. Autor omawia tu zjazd kaniowski w 1787 r., starania Stanisława Augusta pobudzenia Polaków do wojny polsko-tureckiej; zainscenizowaną — w celu obudzenia uczuć patrjotycznych i antitureckich — uroczystość odsłonięcia pomnika Jana Sobieskiego, oraz satyry, związane z tym faktem.

Zwracamy się więc do samej pracy i do jej zakończenia, jako ujmującego wyniki rozważań i tem samem dającego pośrednią odpowiedź na zajmujące nas pytanie. Przyjrzyjmy się najpierw zakończeniu. Autor — jako wynik swej pracy — podaje dwa wnioski: przedewszystkiem stwierdza, iż pierwszą wartością omawianych satyr jest ich wartość artystyczna. Mówi więc tu o „bojowej formie ekspresji satyrycznej", o wyrazie epicznym i lirycznym satyr, o entuzjazmie i ironji, o satyrach Zabłockiego, które są „najpiękniejszemi i w formie i w treści satyrami politycznemi na przestrzeni wielowiekowego rozwoju literatury polskiej" (202) i t. p. Dalej, jako drugą wartość satyr podnosi autor ich znaczenie społeczne, obywatelskie. „Satyra więc posiada poza wartością literacką wielką wartość użyteczną, społeczno-obywatelską, służąc najszlachetniejszym celom utylitarnym, celom dobra ogólnego" (203). Sądząc z powyższego zakończenia, praca musiała iść w dwóch kierunkach: przedewszystkiem musiała przeprowadzić analizę estetyczną omawianych satyr, powtóre zbadać rolę tej satyry w życiu społecznem i kulturalnem narodu. Czy istotnie odpowiedziała temu zadaniu?

Pobieżne nawet przejrzenie pracy wystarczy do stwierdzenia, iż wysunięte na plan pierwszy w zakończeniu zagadnienia artystyczne, w toku samej rozprawy zostały zepchnięte na szary koniec i, co gorzej nawet, na tym końcu nie zostały zupełnie opracowane. Na 7 rozdziałów (nie licząc w tem wstępu) jeden rozdział (ostatni) poświęcono tym zagadnieniom; na 199 stron tekstu, dosłownie cztery strony zajęła autorowi analiza „form" satyry. Właściwie zresztą nie jest to analiza, są to raczej wnioski ogólne, syntetyczne, podane bez żadnego dowodu, nieumotywowane i niepoparte żadnym przykładem. Np.: „Pod względem plastyki obrazów wyżej od poematów satyrycznych stoją satyry-bajki polityczne" (196). — Na tem koniec. Albo, omawiając bezimienne bajki, stwierdza: „Wszystkie te bajki, jako dzieła sztuki, nie mogą się równać ani pod względem obrazowości, ani pod względem oszczędnej w materjale słownym narracji z bajkami obyczajowemi Krasickiego, czy Trembeckiego" (ib.). Musimy uwierzyć na słowo autorowi rozprawy, iż tak jest w rzeczywistości, gdyż sprawdzić tego sądu na podstawie jego książki nie możemy. Wogóle cały ten rozdział VII nie daje żadnych podstaw do wyciągnięcia jakichkolwiek wniosków o stronie artystycznej satyr, tembardziej dziwi wysunięcie właśnie tych zagadnień na pierwsze miejsce w zakończeniu.

Jakże się przedstawia sprawa, związana z drugim wnioskiem autora — z wartością obyczajową satyry. Może ona to właśnie została gruntownie zbadana i wykazana w tej pracy?

Jak autor stwierdza, rola satyry wyrażała się w tem, „aby najskuteczniej wpłynąć na opinję publiczną, urobić należyte stanowisko uczuciowe społeczeństwa polskiego w stosunku do aktualnych spraw politycznych, porazić w opinji publicznej szkodliwe dla idei naprawy ustroju państwowego jednostki" (203). I dalej stwierdza: „Skuteczności oddziaływania satyry można dowieść z niewątpliwą pewnością. Można się powołać na skutki oddziaływania satyry Zabłockiego, który sprawił potężny rozgardjasz w obozie hetmańskim... Sapieżyna, siostra hetmana poczuła się w niebezpieczeństwie, odkąd się dostała pod ostre pióro satyryka. Zrównoważonego w cynizmie Jezierskiego wyprowadził z równowagi Zabłocki swemi paszkwilami... Suchorzewski na posiedzeniu z d. 12 października 1790 r. roztacza skargi na satyryków, którzy „biorą się do oczerniania"

obrońców elekcyjnej formy następstwa tronu w Polsce, żąda interwencji sejmu" (205) i t. d. Ale znów te sprawy mamy głównie omówione w zakończeniu, w tekście zaś pracy, we wstępie i w sześciu pierwszych rozdziałach autor streszcza zagadnienia, któremi zajmowała się satyra. A więc są tu np. zestawione wzmianki o sejmie, o królu, partji królewsko-prymasowskiej, o Branickim i jego partji, o wojsku, skarbie i podatkach, o Radzie Nieustającej, o sprawie chłopskiej i mieszczańskiej i t. d. Streszczenie to i poszufladkowanie zagadnień, któremi zajmowała się ówczesna satyra, zrobione jest przejrzyście, znać dużo pracy i systematyczności w układzie; oparcie się o rękopisy podnosi wartość rozprawy i wywołuje uznanie dla pracowitości i sumienności autora. Jedno tylko zastanawia: Czy wyłączne podanie usystematyzowanego przeglądu zagadnień, poruszanych przez ówczesną satyrę, odpowie na pytanie: jaka jest jej rola i wartość obywatelska? Sądzę, że nie. Jest to jedynie przygotowanie materjału, na którego podstawie należałoby przeprowadzić jeszcze badania nad tą rolą satyry, nad jej oddziaływaniem i wpływem na społeczeństwo polskie. Słusznie więc stwierdza autor w przypisku w zakończeniu, iż opracowany przez niego „obraz dziejów satyry politycznej sejmu czteroletniego nie pretenduje do tego, aby miał być obrazem, wyczerpującym dzieje tej satyry" (206).

Wilno. *Marja Dunajówna.*

ATAK NA LEGENDĘ FREDROWSKĄ

ŻELEŃSKI (BOY) TADEUSZ. Obrachunki fredrowskie. Warszawa. Gebethner i Wolff [1935]. Str. 262.

Żeleńskiego tom szkiców o Fredrze składa się z dwu części, zbioru recenzyj teatralnych, porozrzucanych w dawniejszych częściach „Flirtu z Melpomeną", oraz cyklu bardzo interesujących i bogatych w wyniki gawęd literackich na temat życia i dzieł autora „Zemsty".

Recenzje, obecnie zebrane razem, dają zastanawiający obraz kolejnych stanowisk recenzenta wobec tych samych sztuk, granych zresztą w różnych obsadach i reżyserowanych przez różnych ludzi. Dzięki temu stają się one rodzajem kroniki teatralnego żywota Fredry w naszych czasach, ukazującej, jak komedje jego pojmowano, przekształcano i zniekształcano, dowodzącej, jak i czem Fredro działa na dzisiejszego widza, jak różne reakcje psychiczne wywołuje u tego samego odbiorcy wrażeń. Równocześnie zaś, jakkolwiek ogłoszone w drugiej części tomu, stanowią podstawę części jego pierwszej, w nich bowiem mieści się milczące założenie, że pisarz, który po stu latach potrafi coraz to inne, a zawsze żywe, reakcje budzić, jest naprawdę pisarzem klasycznym, pisarzem wielkim.

Nie precyzując nigdzie poglądu, na czem wielkość Fredry polega, Boy cykl szkiców poświęca walce z przerozmaitemi koncepcjami owej wielkości, tworzonemi przez naszych „fredrologów" w ostatnich dziesięcioleciach. Atakuje tu na całej linji legendę fredrowską, budowaną przez historyków literatury, którzy studjami swemi walnie przyczynili się do wyjaśnienia niejednej zagadki w biografji poetyckiej Fredry, ale równocześnie wprowadzili i nadali wartość obiegową niejednemu sądowi, który rozpada się w strzępy, gdy go skonfrontować z autentycznym tekstem fredrowskim.

W ten sposób przedstawia się, mimochodem zresztą tylko poruszona, sprawa żydowskiego czy nieżydowskiego pochodzenia Geldhaba, dalej bardzo dokładnie zanalizowany problem podwójnego zakończenia „Męża i żony", następnie zagadnienie satyry politycznej w „Panu Jowialskim", nadewszystko zaś kwestja wartości obyczaju staropolskiego we wszystkich niemal komedjach autora „Zemsty". Nie zamierzam referować tutaj wszystkich owych spraw, by w zamian ograniczyć się tylko do ryczałtowego stwierdzenia, że wszędzie tu ma rację autor „Obrachunków", i by do tej ciekawej książki odesłać czytelnika, który jej jeszcze nie zna. Argumentacja Boya opiera się tutaj na imponującej wprost znajomości komedyj fredrowskich, nabytej przez lekturę i teatr, od czasów, gdy sędziwa Modrzejewska występowała w roli Anieli Dobrójskiej. Podkreślić natomiast chciałbym to, co sam Boy nazywa nicowaniem wartości moralnej świata fredrowskiego, awansowanego przez naszych badaczy komedjopisarza do godności ideału cnót wszelkich. Boy z nietajoną pasją analizuje sytuacje, w których występują osobistości fredrowskie, między innemi sytuację finansową Cześnika z „Zemsty" czy amanta z „Pana Geldhaba", by wykazać, że figury, kanonizowane za swe rzekome cnoty przez poszukiwaczy wielkości Fredry, bardzo często wchodzą w aż nazbyt jaskrawe kolizje z honorem i uczciwością. W rezultacie więc staropolski obyczaj, siedlisko pozornych cnót, pod skalpelem obyczajowego anatoma przekształca się w zbiorowisko bardzo rozmaitych osobliwości, w których przemocą doszukiwano się tego, czego w nich niema.

„Obrachunki“ zawierają pozatem szereg bardzo interesujących uwag biograficznych, choćby — czy może przedewszystkiem — o hrabiowskim tytule Fredry, o jego małżeństwie, o stosunku do patrjarchalnej tyranji, o przyczynach wreszcie zamilknięcia i faktu tego konsekwencjach. Rozważania te urozmaica chybiony koncept z metryką Fredry-syna, tem dziwniejszy u pisarza, który zazwyczaj doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co w studjum jest potrzebne, a co nie. Przypuśćmy, że Boy ma słuszność, że udało mu się stwierdzić, że Jan A. Fredro urodził się przed ślubem rodziców. I co z tego? — absolutnie tyle, co z daty dotąd przyjmowanej, oczywiście gdy chodzi nam nie o jego biografję, lecz o dzieje Aleksandra Fredry.

Wszystkie te zagadnienia Boy rozwiązuje w trakcie polemiki ze znanemi i uznanemi poglądami badaczy akademickich, czy raczej uniwersyteckich. W ataku jest on mistrzem nieporównanym, rozumującym zabójczo-logicznie i wskutek tego całkiem przekonującym. Inaczej ma się rzecz, gdy Boy zaczyna konstruować własne koncepcje. Zwalczając fałszywe i jednostronne oceny Moliera w Polsce, i to zarówno u komedjopisarza jak u historyków literatury, ukazując śmieszne wywyższanie Fredry kosztem pomniejszania Moliera, Boy daje własną koncepcję twórcy „Świętoszka“, naogół słuszną, miejscami jednak rozbrajająco naiwną. Oto szczytem myśli moljerowskiej, zuchwale spieszącej naprzód, ma być komunał z „Don Juana“, „że cnota jest pierwszym tytułem szlachectwa“. Przyjmując nawet cały dystans między aktorem a jego arystokratyczną widownią, niepodobna nie dostrzec, że chodzi tu o komunał od średniowiecza powtarzany przez wszystkich moralistów łacińskich, francuskich, polskich etc. etc., tak że jego interpretacja w „Obrachunkach“ i miejsce w wizerunku Moliera wyznaczone mu przez Boya budzą duże zdziwienie.

Tem też, ową niezdolnością skonstruowania własnych kryterjów oceny dzieła fredrowskiego, tłumaczy się, że Boy, rozsiewając na kartach książki tysiąc arcyciekawych i słusznych spostrzeżeń, nie daje jednak oczekiwanej przez czytelnika odpowiedzi: na czem wielkość tego dzieła polega. „Obrachunki“ jednak niewątpliwie do rozwiązania tego zagadnienia prowadzą, poprostu uprzątają obiegowe a fałszywe poglądy, oczyszczają teren pod nową budowę, przynoszą do niej sporo materjału, i dlatego właśnie warto je poznać. No i dlatego jeszcze, że napisane są świetnie.

Warszawa. *Juljan Krzyżanowski.*

N O T A T K I

W SPRAWIE RECENZJI KSIĄŻKI O »DRAMIE«

Recenzja mojej rozprawy „Drama w warszawskim Teatrze Narodowym za dyrekcji L. Osińskiego“, napisana przez p. L. Simona (Ruch Lit. 1934, 7, s. 220), zasługuje na chwilę uwagi. Wprowadza bowiem do sprawozdań literackich zupełną swobodę w traktowaniu tekstu i brak (wreszcie!) skrępowania wobec autora. Takie przezwyciężenie obu starych konwencyj: filologicznej i towarzyskiej, daje recenzentowi świetną sposobność wyróżnienia się w roli surowego sędziego, doskonałego znawcy przedmiotu i tęgiego stylisty, który nie przebiera w słowach, gdy o prawdę chodzi. Z tych względów o właściwym temacie rozprawy ledwie wzmianka. Większość sprawozdania zajmuje się tem, co zostało nazwane moją „taktyką“. Termin, choć nowy na szpaltach pisma zupełnie cywilnego, jest raczej pobłażliwy. Rzecz bo przedstawia się w recenzji tak: Jako młodzieńczy i zapalczywy „sympatyk romantyzmu“, odurzony „urokiem mickiewiczowskiej Glossy“, napisałem „ku utrapieniu klasyków“ feljeton. To jeszcze nie jest „taktyka“. Wielu młodych ludzi pisze pod wpływem Mickiewicza rzeczy większe od feljetonu i nikt ich za to nie militaryzuje. Oni jednak wiedząc dobrze, że pisanie „ku utrapieniu klasyków“ nie jest zadaniem naukowem, nie starają się o stopnie uniwersyteckie. Ja jestem sprytniejszy — ze sprytem człowiek się rodzi. Powiedziałem sobie: a gdyby tak za jednym zamachem zdobyć papierek, bez papierka dziś ani rusz? I zastosowałem „taktykę“. Proszę: „Autor — powiada recenzent — wobec teatru przeszłości zajął stanowisko satyryka sympatyzującego z romantyzmem..., temat ujął feljetonistycznie..., czyniąc jakby kompromis na rzecz naukowości (praca dyplomowa!) wprowadzeniem w dodatku przypisów...“ Jest to znacznie prostsze niż mogłoby się wydawać, takie „wprowadzenie w dodatku przypisów“. Przegląda się feljeton po napi-

saniu i co parę wierszy łupi przypis. Niestety, zawsze przy podobnej robocie popełnia się jakąś nieostrożność, która pozwala na wykrycie afery. Mnie to się również wydarzyło. Gdybym był — naiwny — „wprowadził" przypisy w tekście, uszłoby mi może na sucho. Ale „wprowadziłem je w dodatku". Następstwa są zupełnie nieobliczalne.

Dotknięty bowiem głęboko takiemi macherkami z „naukowością", recenzent odkłada na bok wszelkie konwenanse. Postanawia zakrzyknąć na mnie zgóry i nie liczyć się ani ze mną osobiście ani z tekstem — niedaleko pada jabłko od jabłoni. Dla mnie ma więc takie tony, jak ten gdy mówi o „grubej naiwności" autora — doprawdy jedynej rzeczy grubej w tej cienkiej rozprawce. Albo, gdy troszcząc się o moją zaniedbaną etykę, wskazuje jak to jedne „kwestje... da się przedstawić uczciwie..." Albo też, gdy ucieka się do plastycznego opisu: w pewnej chwili uchwycony zostaje w ruchu, mijam „problem teatru... bardziej skomplikowany niż sobie wyobrażam" w zadyszanej „pogoni za paradoksem i „michałkami" godnemi „Szczutka". Obrazek ma duże zalety pedagogiczne. Niedorosły do spostrzegania zawiłości rzeczy, z pliką „Szczutka" pod pachą, z dwoma palcami złożonemi do gwizdania, stoję przyłapany przed gniewnym krytykiem. „Dziecię, ja cię uczyć każę..." Nie, dość pobłażania, w takich wypadkach trzeba ciężkiej ręki, zwłaszcza, że ja tych palców nie składam do gwizdania dla parady. Robię z nich właściwy użytek: gwiżdżę. Gwiżdżę sobie na wszystko, czem się w pracy zajmuję. „Naśmiewam się" więc z romantycznej dramy, choć „sympatyk romantyzmu" — jestem w tem przecież konsekwentny, bo „tu klasycy zgadzali się z romantykami!". „Wykpiwam" „śladem ówczesnej krytyki, branej dosłownie, publiczność..., oraz sposób wystawiania w teatrze". Godnych panów we wstęgach i orderach, zdawna już zresztą zmarłych, nie traktuję przez „panie prezesie" ale przez „dureń", „matoł", czy „głupkowaty snob". Mało mi tego. Z właściwą dla okresu dojrzewania skłonnością do uczynków obscenicznych „ulżyłem sobie" na klasykach. Co jeszcze nie było „ulżeniem sobie" zupełnem, bo ponadto „nieliczne zabytki oryginalne zbyte są — przeze mnie — z lotu ptaka". Choć polskie, choć nieliczne. Ohyda!

Taki sposób przedstawienia autora wraz z jego taktyką wymagał pewnego uzasadnienia. Trudno jest brać wszystko na wiarę gniewów, choćby bardzo patetycznych. Znalezienie dowodów nie sprawia recenzentowi najmniejszych trudności — ma ich na podorędziu, ile dusza zapragnie. Oto jakich:

Osiński jest w rozprawie człowiekiem o „rzetelnej literackiej kulturze" (s. 4), klasykiem — w ówczesnem rozumieniu — ze szczerych zamiłowań (s. 4), w teatrze prowadzi „szczytną walkę o uszlachetnienie repertuaru" (s. 12). Czuły na finansowe powodzenie, szybko składa broń. — Z recenzji jednak dowiadujemy się, że ja poddaję Osińskiego obrzydliwym zabiegom; „sprowadzam jego osobę do poziomu tchórzliwego durnia". Źródła tej wstrząsającej wstrętem wiadomości są nieznane, ale ona sama bardzo poręczna bo pozwala, recenzentowi na postawę: święci pańscy, już ja mu pokażę! I pokazuje. Że brak przymiotów orlich u Osińskiego, to że był „załamującym się dyrektorem", „jeszcze nie upoważnia, zwłaszcza przy argumentach p. K..." do podobnego traktowania. Że trudna, wchodząca w zakres historji filozofji „kwestja idealizmu i materjalizmu Osińskiego, da się przedstawić uczciwie tylko na tle dziejów organizacyjnych teatru". I t. d. Śmiało i w tym samym tonie.

Klasycy w rozprawie dla dobra spóźnionej sprawiedliwości wzięci są w obronę przed „rozpowszechnionemi dotąd romantycznemi pokpiwaniami" (s. 15). Ich artystyczny ideał, określany bliżej, uważany jest za „szlachetny i wysoki" (s. 15). Ich szyderstwa z dramy pojęte są jako walka z coraz groźniejszym wówczas politycznym obskurantyzmem, obrona zagrożonych wartości kulturalnych Wieku Oświecenia (str. 14—15). — Recenzent jednak całkiem gładko wymyśla w mojem imieniu klasykom. „Przedstawiam" więc ich jako „matołów", „chcę" aby byli „bardzo głupi i despotyczni", uważam ich towarzystwo krytyczne za „snobistyczną klikę", „widzę" w nich „despotyzm głupkowatych snobów". To że „gromadzę skwapliwie same cienie" niewiele już ich cieniom ubliża, mimo mojej „skwapliwości". Poczem bardzo się recenzent na mnie gniewa i wypisuje wiele ostrych pouczeń. Przyjmuję je tak jak na to zasługują — t. j. ze szczerym podziwem.

Tragedja klasyczna, wprowadzona w rzecz o dramie jako jej sceniczna rywalka, zajęła w rozprawie aż nadto wiele miejsca (s. 4—14, 50—53, 67—70, 80—87). Pociągnęła mnie bowiem, jeszcze przed poznaniem tradycyjnego teatru francuskiego, artystycznemi wartościami scenicznemi. U nas zapomnianemi doszczętnie. Chodziło mi więc o ukazanie, jak to sublimowały się w niej wzniosłość, bohaterstwo, szlachetność w dostojnym geście aktora, na scenie pozbawionej rekwizytu i ozdobionej symetryczną dekoracją malowanych pała-

ców. — Sprawozdanie tu informuje intęligentnie, że jest ta tragedja według mnie „nudna i nikomu niepotrzebna". I, oczywiście strofuje, że „choć kosztowna" (wszystkie tragedje przez lat trydzieści parę dawano w kilku dekoracjach) nie zrujnowała teatru. Bo ja każę jej teatr zrujnować dla czystej uciechy niszczenia.

Roz. 6 zajmuje się określeniem roli dramy w przekształcaniu się dramatyki klasycznej na nowożytną. Jest tam głównie mowa o jej wpływie na urealnienie ludzi i zdarzeń, przeniesienie do teatru z codziennego życia sprzętu i związanego z nim ruchu ludzi. — Zostaje to ujęte w recenzji tak: „zasługę dramy widzi autor w tem, że odstręczała widza od nudnej tragedji... i utorowała drogę romantyzmowi".

Zaniechanie przez Osińskiego walki o tragedję w repertuarze jest w rozprawie poddaniem się gustom publiczności, opornej wobec klasycyzmu (s. 12-13). — To jednak nie przeszkadza zupełnie recenzentowi napisać: „Klasycy nie wytrzymali kursu i zbankrutowali, jednak wcale to nie oznacza zwycięstwa romantyzmu. Zwyciężył smak tłumu..." Czyli: według mnie, „Wychowanka U. W." b. kiepsko poduczonego, zwycięstwo romantyzmu nastąpiło w roku pańskim 1819. Za co należy mi się słuszna reprymenda.

Jest w „sprawozdaniu" tak śmiało pojętem kilka zarzutów o pozorach rzeczowości. Mogłyby stać się podstawą dyskusji, choć oznaczają się głównie tupetem. Wskazanie wśród „zagadnień pominiętych" takiego jak „ewolucja dramy" idzie na czele — kto zagadnienie to podejmie i obdarzony dość twardem życiem wykona, przeprowadzi robotę za kilkunastu uczonych we Francji, Anglji i Niemczech. Piękny to tytuł do sławy! „Pominięcia" inne, mniejszego już kalibru, wyjaśnia tytuł. Wyniesienie wreszcie na widok publiczny „takiej pracy jak M. Thalmann o romansie brukowym" dla przekonania, iż mój „sposób traktowania przedmiotu wyraźnie koliduje z wymogami krytyki naukowej", nie ma, niestety, wartości dowodowej. Chętnie wskazałbym recenzentowi, co wartość taką posiada, gdyby polemika była możliwa. Ale nie jest. Skoro bowiem krytyk podsadza się na różne sposoby, aby zgóry móc na autora zakrzyknąć wyniośle i wzgardliwie, to trudno temu autorowi odpowiedzieć inaczej, niż przez zbożny rozbiór krytycznego dzieła.

Paryż. *Bohdan Korzeniewski.*

ODPOWIEDŹ RECENZENTA

Omawiając w „Ruchu Literackim" (1934, № 7) rozprawę o dramie pióra p. B. Korzeniewskiego, przyznałem autorowi duży talent literacki i znaczne oczytanie w materjałach, w szczególności zaś chwaliłem charakterystykę dram obcych u nas wystawianych oraz zestawienie repertuaru. Równocześnie podkreśliłem niedomagania rozprawy jako pracy naukowej. Zwróciłem uwagę na feljetonowe ujęcie tematu, pogoń za ucinkami i paradoksami, niedostateczne pogłębienie zagadnień teatralnych epoki, stanowisko satyryczne wobec klasyków, teatru i dramatu, pobieżne potraktowanie dramy rodzinnej, wreszcie na zakończenie sprostowałem błędy w bibljografji.

Zarzuty recenzji autor zbywa kpinami i dowolnym komentarzem poszczególnych słów i myśli. Rozprawy nie nazwałem feljetonem, tylko mówiłem, że autor „temat ujął feljetonistycznie", co nie jest jedno i to samo. W dalszym ciągu repliki autor sugeruje mi pogląd, że przypisuje wielką wagę do sposobu umieszczenia przypisów, że gdyby znalazły się w tekście, nie za tekstem, wszystko inne uszłoby mu na sucho. Tymczasem w recenzji powiedziałem: autor „temat ujął feljetonistycznie z zaprawą różnych dowcipów i ucinków, czyniąc jakby kompromis na rzecz naukowości (praca dyplomowa!) wprowadzeniem w dodatku przypisów i bibljografji". Czyż istotnie było tak trudno dopuścić myśl, że wobec stwierdzenia pewnych właściwości rozprawy, kolidujących z wymogami nauki, jako właściwy paszport naukowy publikacji uznałem istnienie przypisów i bibljografji. Na zdanie rozprawy, że legendarny fanatyzm Osińskiego od samego początku antrepryzy „nie sięgał aż do... sakiewki", odpowiedziałem w recenzji, że „kwestja idealizmu i materjalizmu Osińskiego da się przedstawić uczciwie tylko na tle dziejów organizacyjnych teatru". Autor, widzi w mych słowach troskę o swą zaniedbaną etykę, czem nareszcie przyznaje rację jednej z podstawowych tez recenzji, że zagadnienia teatralne epoki nie zostały należycie pogłębione w rozprawie. W dalszym ciągu repliki autor streszcza moje wywody, zabarwiając je odpowiednio własnemi dodatkami, żeby tylko ośmieszyć recenzję. Środki polemiczne autora są niewybredne — zamiast rzeczowych argumentów, czepianie się o słowa, parodjowanie zdań i przypisywanie poglądów nigdzie niewypowiedzianych. Autor nie cofa się nawet przed pogróżkami: „Nie, w takich wypadkach

trzeba ciężkiej ręki". To wszystko za to, że ośmieliłem się stwierdzić satyryczne nastawienie autora wobec przedmiotów badanych, zaś różne koncepty (np. „a spostponowana drama popłakuje w kąciku" etc.) uznałem za dobre w „Szczutku", lecz niedopuszczalne w pracy naukowej. Zaznaczam też, że w recenzji nie było mowy ani o gwizdaniu, ani o tem, że klasyków należało tytułować, ani wreszcie, że autora cechuje skłonność do uczynków obscenicznych. Autor jest przekonany, że Osińskiego potraktował b. życzliwie, daje cytaty i podnosi alarm spowodu recenzji, tymczasem okazuje się, że w pracy punktem wyjścia charakterystyki Osińskiego była złośliwa opowieść Koźmiana, jak to Osiński ośmieszył się w młodości w widowisku amatorskiem „Horacjuszy", gdy „mały, pękaty... czupurny... zbroją i kaskiem starożytnym się nadstawiał". To „nadstawianie się z gołemi łydkami" w przedstawieniu tragedji w 12 lat przed objęciem dyrekcji teatru urosło w pracy bezpodstawnie do znaczenia symbolu (nie była to klęska tragedji klasycznej, lecz klęska polskiej sceny amatorskiej i jej aktorów w rywalizacji z francuską „Societą"), zaś jako motyw przewodni przyjęty został epigramat z tej właśnie okoliczności: „Nie wszyscy wszystko możem, tyś był wczoraj świadek, „Febus ci twarz pokazał, Melpomena..." Osiński według autora pozuje na klasyka dla efektu w salonach i dla korzyści finansowych. „Legendarny fanatyzm „ostatniego klasyka" w rzeczy grubo podszytego kupcem, nie sięgał aż do... sakiewki". Gdy Osiński wypowiadał mowę programową w teatrze w rozterce między „wyniosłym" gustem, a handlową przezornością, „cóż to za rozkoszną oglądano wówczas na twarzy znakomitego deklamatora grę min: ...jowiszową między brwiami zmarszczkę przy groźnej zapowiedzi...", później „grymas", niebawem znowu „zakłopotany uśmieszek". W taki oto sposób przedstawia autor „rzetelną kulturę literacką" Osińskiego, „szczere zamiłowania", „szczytną walkę o uszlachetnienie repertuaru" aż do złożenia broni, bo był jednak „czuły na finansowe powodzenie". Autor nie wniknąwszy głębiej w politykę teatralną Osińskiego i idąc śladami współczesnej satyry dał mozaikę faktów i określeń, z których ostateczny wniosek wyciąga czytelnik, że Osiński był ideowcem z interesu, śmiesznym heroldem gołych łydek i gadających posągów tragedji, a nadewszystko marnym kupcem, który zaniedbując teatr, spekulował na klasycyzmie ze względu na protektorów, chociaż ci stawiali twarde żądania mogące zachwiać podstawami ekonomicznemi sceny. Niema co — świetny kupiec, o rzetelnej kulturze literackiej. Cytaty podawane przez autora nie obalają recenzji, tylko świadczą, że brak odpowiedzialności za słowa króluje w rozprawie. Podobnie jak z Osińskim, rzecz się ma z klasykami, tragedją i dramą. Autor wprost nie zdaje sobie sprawy z charakteru swej pracy naszpikowanej złośliwościami i to niezwykle utrudnia dyskusję. Zachodziłaby poprostu konieczność obszernych cytat, co w „Ruchu Literackim" jest niewykonalne z braku miejsca. Przykład z Osińskim powinien zresztą wystarczyć jako charakterystyczny i typowy. Rozdziału VI pracy wogóle nie streszczałem, bo polega na czczej frazeologji i obojętny jest z punktu widzenia ściśle teatralnego. Roli dramy na scenie warszawskiej, naprawdę dodatniej, autor nie dowiódł, natomiast zaznaczył ogólne związki literackie między dramą a twórczością romantyków. Wreszcie autor podnosi krzyk, że przypisuję mu zdanie, iż zwycięstwo romantyzmu nastąpiło w r. 1819, tymczasem pisząc w recenzji: „Klasycy nie wytrzymali kursu i zbankrutowali, jednak wcale to nie oznaczało zwycięstwa romantyzmu. Zwyciężył smak tłumu...", o roku 1819 wogóle nie wspomniałem, wiedząc, że u steru teatru znajdowali się klasycy jeszcze w latach 1827—1830, i przypuszczając, że o tem będą także wiedzieli jako tako poduczeni poloniści.

Na temat repliki autora wiele jeszcze dałoby się powiedzieć, jednak brak miejsca staje temu na przeszkodzie. Przytoczywszy fakty, wnioski zostawiamy czytelnikom.

Warszawa. *Ludwik Simon.*

PRENUMERATA RUCHU LITERACKIEGO:

Roczna (10 zeszytów) w W-wie bez odnoszenia do domu zł. 14.—; z przesyłką pocztą w Warszawie, na prowincji i zagranicą zł. 16.— (Półroczna (zesz. 1—5, I-e półr. wzgl. 6—10 II-e półr.) w Warszawie bez odnoszenia do domu zł. 7.—; z przesyłką pocztą j. w. zł. 8.— Cena numeru pojedyńczego zł. 2.—. Prenumeratę można wpłacać do P. K. O. na Konto № 12500.

REDAKTOR: PIOTR GRZEGORCZYK WYDAWCY: GEBETHNER i WOLFF

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. ZGODA 12. TEL. 678-16.
Korespondencje, tyczące spraw redakcyjnych oraz egz. recenz. należy przesyłać pod adresem:
RUCH LITERACKI, Warszawa, ul. Kromera 4 m. 18.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 11-91-03.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 11-91-03.